

Bhett's

S. R. Zawca (powieć).

ZBAWCA.

POWIEŚĆ

(z drugiej połowy XVI stulecia)

Z PODAŃ LUDU PRAGSKIEGO GHETTA

spisał

S. K.

Das Wunder ist des Glaubens liebster Kind.
Goethe

PRZEKŁAD

Adolfa-Jakóba Cohn'a.

WARSZAWA.

W Drukarni Ign. Krokoszyńskiego.

1862.

41050

ZBAWCA.

33-404

2-

SBAWCA

Ghett's

Z BAWCA.

POWIEŚĆ

(z drugiej połowy XVI stulecia)

Z PODAŃ LUDU PRAGSKIEGO GHETTA

zbiór

S. K.

Das Wunder ist des Glaubens liebstes Kind.
Goethe

PRZEKŁAD

Adolfa-Jakoba Cohn'a.

WARSZAWA.

W DRUKARNI IGN. KROKOSZYŃSKIEGO.

1862.

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63



Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 19 (31) Lipca 1862 r.

Starszy Cenzor, Assesor Kolegjalny,

T. Hertz.

22.391

CZŁONKOM
swojej rodziny,
ZNAJOMYM I NIEZNAJOMYM

poświęca

TLÓMACZ.

OLONBOM

OLONBOM

OLONBOM

OLONBOM

Powiatka, którą obecnie czytelnikom przynoszę, jest jedną z owych legend czarownic, co tysiącami żyją w uściech ludu pragskiego Ghett'a...

Podjmując przekład, nie kuśiłem się wcale o przysłużenie się nim literaturze ojczystej... to nie dodałoby jój ni barwy, ni woni.. W tym skarbcu bogatym skromna praca moja zaginęłaby bez śladu, jako w morzu kropelka...

Inna całkiem myśl natchnęła mi zamiar ten... Chciałem mianowicie książeczką tą pracownikom-Izraelitom na niwie polskiego piśmiennictwa dać hasło niejako do powstania, rozbudzić ich do trudu około płodów ludowej fantazji, owój nici złocistej, która wią-

że nas z przeszłością, która nigdy bezkarnie zerwaną być nie może...

Chciałem ich zawezwać niejako przed sąd publiczności do jawnego tłumaczenia się, dla czego, gdy współwyznawcy w pobratymczej czeskiej krainie już tak obfitym podań swych cieszą się zbiorem („Sippurim”), gdy tam podania te tak artystycznego dostąpiły obrobienia — przykładem opowieść niniejsza — dla czego, powiadam, u nas pole to całe jeszcze leży odłogiem, dla czego my obojętnym okiem patrzymy na te światełka iskrzące się w dziedzinie historii, na te tak drogie minionych wieków wspomnienia..

○ Czy kartki te dopną celu? spróbujemy...

Cokolwiekbądź, życzyłbym sobie, ażeby przekład sam, jako taki, przyjętym był za to, czém jest w istocie, — za pierwsze próbki młodego, a niewytrawnego tém samym pióra...

TIOMACZ.

Kilka słów wstępnych Tłómacza.

Każda warstwa, każdy stan w narodzie odrębne w łonie swém wyrabia życie, objawiające się w sposobie jego myślenia i mówienia, w stosunkach jego rodzinnych, w przesądach wreszcie i zabobonach jego.

Zycie to, zakulisowe, że się tak wyrażę, dla pojęcia znamion charakterystycznych całego ogółu, małoznaczne na pozór—niesłychaniej jednak jest wagi; przeróżne bowiem formy pod jakimi ono występuje najaw, ni-by akkordy pojedyncze, zlewają się w jedną wielką harmonję życia narodowego...

1*

Literatura téż nasza, jako wierny odbłask życia tego, skrzętnie gromadzi wszelkie wieści do jego wyświetlenia przyczynić się mogące, spisuje nam, niby wyrazy oderwane zdania jakiegoś, obyczaje i zwyczaje, przymioty, zdrożności i wady rozmaitych klas społeczeństwa naszego, z którychbyśmy sami całość złożyć, wyczytać i naukę wyciągnąć dla się byli w stanie, po których sądząc przyszłość wyda wyrok potępienia lub uznania.

Jedna tylko klasa, jeden tylko żywioł narodowy do chwili obecnej wcale w literaturze naszej nie był reprezentowany, a jeśli i był kiedy— to po to jedynie, by śmiech wzbudzić i urągowisko, to po to jedynie, by jęk rozpaczy z jednej, a szyderstwo i wzgardę z drugiej wywołać strony...

Tą klasą, tym żywiołem narodowym zapoznawany u nas dotychczas, jak w życiu w ogóle, tak i w literaturze, zwierciadło jego—są Izraelici... O nich, jakimi rzeczywi-

ście byli i są, jakimi są wszyscy ludzie, z ułomnościami i przywary, które gromić i chłostać przystoi — ale ręką matki... z uczuciami i zdolności, które jedno uzacnić potrzeba, by wykwitły miłością i poświęceniem... w powieściach polskich i innych tym podobnych utworach nie masz ni słychu... Jeśli tu gdzie znajdziesz żyda, znajdziesz tylko sam brud i męty społeczne — nic dobrego, tak dalece, iż nieświadomemu naprawdę zwątpić przychodzi, ażali ludzie ci, z takimi zasadami, tak wystawiani — choć cokolwiek jeszcze zachowali istoty człowieczej...

Nie możemy tutaj w tém miejscu nie oddać należnej czci i hołdu pierwszorzędnym pisarzom naszym, takim jak Lelewel, Mickiewicz, Kraszewski, Korzeniowski i inni, którzy mimo powszechnego nastroju umysłów żydom nieprzychylnego, nieraz na tyle zdobywali się wyższości, iż w utworach swych szli wbrew opinji publicznej i narodowi pomiędzy biednymi uciśnionymi iskrzące się

ukazywali światełka... Ale nie przepomnieliśmy jeszcze również i tych, smutnej pamięci, językowych sztuczek łamanych, téj powodzi pism rozmaitego rodzaju, dzieł miernoty a częstokroć i talentu, któremu się to ujmą nie zdawało wcale wypotrzebowywać się i marnować na szarpaniu sławy bliźniego, brata... gdzie wszystko co żydowskie, bez względu żadnego, bez rozbioru obryzgiwano żółcią i błotem...

Niechaj nas wszakże, ze słów tych, nikt nie posądzi, jakobyśmy mieli zamiar stawać tu w obronie wad i przywar współwyznawców naszych, chcieli wystawiać ich jako grzeszników uprzywilejowanych, nietykalnych w obec krytyki...

I owszem... Biada społeczeństwu, w którym nie masz krytyki, a krytyki będącej, nie naigrawaniem się, nie pastwieniem nad bezsilnym, ale takiej, co to z jednej strony chłoseząc i karcąc występki słowa gromem... z drugiej występny braterską dłoń podawa

i podnieść się pomaga... Biada temu, powtarzamy, niegodzien ludzkiego imienia ten, kto krytyki takiej szczerem sercem nie przyjmuje, kto o nią się gniewa i oburza...

I my też nie myślemy bynajmniej usuwać się przed ostrzem krytyki zdrowej a z serca płynącej, zwalniać współwyznawców naszych od wszelkiej winy—choćby dla tego jedynie, że są współwyznawcami naszymi... Myśl podobna zawsze od nas była i będzie daleką...

Chcieliśmy tylko kilka słowy, co poprzedziły, wskazać czytelnikom, jak jednostronnie dotychczas Izraelici w literaturze naszej byli przedstawiani, jak przestępstwo lub wadę jednostki, skutkiem solidarności jakiejś fatalnej, wnet na cały zwalano ogół, jak pisarze nasi i artyści dla żydów czarne tylko mieli kolory, w nich ujemnych tylko dopatrywali stron, a dobrych nie widzieli wcale, czy też widzieć nie chcieli... mieszając tylko i mącąc i tak już niejasne wyobrażenie ogółu o tych ostatnich...

Tym sposobem stało się, że ziomkowie innych wyznań, którzy nie mieli innej sposobności, jak z literatury, z książek poznać żydów, najfałszywszych o nich nabywali pojęć, stronili jak od zapowietrzonych i nie znając, znieawidzili.

Ztąd, pomiędzy wielu innemi, literatura była może jednym z najbardziej wpływowych środków, żywiących i utrzymujących nie-szczesne rozdwojenie...

Ale dosyć o tém... Czasy te przeminęły już, dzięki i chwała Najwyższemu, a przeminęły, miejmy nadzieję, bezpowrotnie.

Na przeszłość całą rzućmy zasłonę... zapomnijmy!

Dziś... dwaj zapaśnicy na oko, co jeszcze przed tak niedawnym czasem wrogimi sobie być się zdawali, w bratniém złączyli się uści-

śnieniu i uznali się wzajem za jedną ziemi synów, za jednego Boga dzieci...

Wszakże nie wszystko jeszcze dokonane...

Śniem twierdzić, że póty nie nastąpi prawdziwe zjednoczenie, póty linja demarkacyjna mniej więcej wyraźna istnieć nie przestanie—póki do gruntu nie poznają się bracia, póki nie przeniknie jeden do głębi serca drugiego, nie podślucha bicia jego tętna, nie nauczy się czytać w jego duszy...

To zaś, o ile mi się zdaje, jeżeli nie jedynie, to w znacznej przynajmniej części, urzeczywistnić zdoła spokrewnienie, zlanie się myśli, jawne wypowiedanie się nasze przed rodakami za pomocą płodów piśmienniczych, za pomocą literatury...

Tak długo jak rodacy-chrześcijanie nie będą posiadać dokładnej wiadomości o dziejach naszych na tej ziemi, tak długo jak, skreśliwszy wykończony obraz naszego życia rodzinnego i pomiędzy sobą, tak w przeszłości jako i w terażniejszości, — nie okażemy

im dowodnie, że i w chwilach cierpień najokropniejszych nawet nigdyśmy krajowi temu, ojczyźnie naszej dobrze życzyć nie przestali, a tylko ograniczenie w działalności, nigdy zaś niemoc lub zła wola od przyłożenia się wszelkimi siły ku dobru ogólnemu nas wstrzymywały;— tak długo, powiadam, nie będzie i być nie może zaufania wzajemnego, owego szczerego, serdecznego zwierzenia się, które tylko wielowiekowe na jednej ziemi pożycie, jednakich kolei doświadczenie i silne, niezachwiane przekonanie o gorącej zawsze, nie kłamanej miłości wspólnych losów uczestnika dać w stanie...

Bez tego może być jakiś szal namiętny, jakieś gorączkowe zbratanie się chwilowe, gotowe niebawem znów w nienawiść przemienić się zaciętą — ale, by w takim stanie rzeczy miała być przyjaźń do poświęceń zdolna... nie wierzymy.

Dla tego, jeśli szczerze pragniemy jedności, jeśli pragniemy stać się krwią z krwi,

a kością z kości narodu, — rzućmy się z całym zapalem do uprawiania jego niwy literackiej, dołożmy wdowiego grosza naszego do tój wielkiej skarbnicy polskiego żywota!

Chodźmy pilnie około wykrycia i wydobywania na jaw pomników przeszłości naszej, które, niepodobna ażeby się nie znalazły na scenie działania swojego, na całym obszarze Lechitów ziemicy... umiejmy tylko szukać a znajdziem...

Twórzmy i kreślmy obrazy z życia rodzinnego i towarzyskiego ludu naszego, rozliczne jego zwyczaje, zabobony i przesady, a nie przepomnijmy przytém o podaniach, o gadkach jego, które niekiedy tak charakterystycznie i barwnie malują niedolę i ucisk i całe życie żyda przeszłych lat — a kreślmy to wszystko z całą prawdą, z całą wiernością, nie ukrywając nic...

Nie wahajmy się przymiotów i dobrych stron plemienia naszego we właściwem wy-

stawiać świetle, w obawie, by nie posądzono nas o przechwałki,—nie wahajmy się tak samo dotykać ran najboleśniejszych i sprawiedliwej wymierzać chłosty na tych, co miasto goić i zablizniać, jeszcze bardziej je rozjątrzają... dla tego, by ziomkowie zagniewani nie odwrócili oczu od występnych... Poznają oni i tak, że niepospolitej prawdziwie siły duszy, niepospolitej ufności i wiary potrzeba, by z pośród takiego uciemżenia i wzgardy, z pośród tak zaciekłego namiętności boju—choć nieskalane wynieść serce...

Na tém polu pracujmy, na ten cel obróćmy trawiące się dotychczas w bezczynności zasoby ducha naszego... nie wymawiajmy się szczupłością datku, jaki kto przynieść może, nie wymawiajmy się mnogością zajęć, ni troską o chléb powszedni... bo człowiek, co *zechce*, byleby to chcenie nie przechodziło siły jego, to i *może* prędzej później... bo to dług święty należny od nas starszej

braci naszej w ojczyźnie i młodszej — w Izraelu... (*).

Więc pracujmy, pracujmy ochoczo — a Pan pobłogosławi téj pracy naszej, — a nam padnie w udziale chluba przeprowadzenia do końca tego wielkiego, tak cudnie rozpoczętego dzieła jedności i braterstwa, zaufania wzajemnego i miłości,

(*) W przekonaniu, że siły zbiorowe zawsze prędzej i łatwiej prowadzą do celu, aniżeli rozproszone i gubiące się w jednostkach — rzucam tu myśl, czyby nie było zbawienném zawiązać towarzystwo do krzewienia literatury polsko-izraelskiej, na wzór istniejącego w Niemczech: „Institut zur Förderung der israelitischen Literatur.” Samemu mnie ani siły, ani doświadczenie, ani czas po temu... Szczęśliwym będę, jeżeli ludzie kompetentni, ludzie serca i nauki tę myśl moją podejmą i ją w życie wprowadzą.

które oby przetrwały wjak najdłuższe lata...
Co daj Boże!

Ad. J. Cohn.

Pisałem w Warszawie

Dnia 3 Sierpnia 1862 roku.

I.

Piękny dzień letni rodził się właśnie. Ciemność nocy pierzchała powoli przed blaskiem rumianym na wschodzie. Jasne, lazurowe niebo mile spoglądało na ziemię. W mieście Pradze głęboka panowała cisza, większa część mieszkańców bowiem, jeszcze w snu znajdowała się objęciach. Ale nad brzegami Mołdawy ludno już i gwarno, bo to był piątek — a rybacy od samego rana kupujących czekali.

— Hans! rzekł do syna swego stary rybak, na progu chaty, czy widzisz jak tam nadchodzi najlepszy nasz znajomy, żyd Mordko?

W rzeczy samój zbliżał się ktoś szybkim

krokiem ku chatce rybackiej. Na pierwszy rzut oka, po żółtym znaku u lewego rękawa, można się było domyśleć, że świeżo przybyły jest żydem; jednocześnie wszakże każdyby w nieznanym tym uznał człowieka niezwykłego. Był to mężczyzna około trzydziestu kilku lat mieć mogący. Silna budowa jego ciała i olbrzymi wzrost w najzupełniejszej pozostawał harmoniji z wysoką szlachetnością jego rysów. Czarna broda ocieniała dolną część twarzy, spadając na silną i szeroką pierś. Pod czołem wysokim iskrzyło się dwoje oczu więcej błyszczących i czarniejszych jak węgiel. Cała istota jego nosiła piętno owęj wysokiej godności duszy, owęj wyższości przyrodzonej, którą jedynie przekonanie o szlachetności własnej dać może,—przed którym i ucisk poniżający nawet, tak pod owe czasy jego współwyznawców ciężący, przesunął się bez śladu...

— Dzień dobry, panie Macieju, odezwał się nareszcie dźwięcznym głosem, jestem pewny, że, jak zwykle, pierwszym kupującym u was.

— Tak jest, panie Cemach. Życzę panu,

żebyś jeszcze z siedmdziesiąt lat przynajmniej, sam się kupnem swém zajmował. Gdybyś jednak przybył i najpóźniej, zawsze najpiękniejszą z ryb pozostawiłbym dla ciebie, — nie dla tego wcale, że się pan nigdy ze mną nie targujesz i to płacisz, czego żądam, — nie, nie dla tego; ale, że wiem, że najpiękniejszą rybę kupujesz jedynie dla uczczenia swojego szabasu, swego święta, że wiem, jak często sprawiasz niespodzianki biednym twym współwyznawcom, przysyłając im w piątek wieczór już gotowane ryby i mięso.

Niedawno jeszcze temu rozповідаł mi chromy Icek, posługacz bóżniczy, jak zrozpaczony jednego piątku wieczorem wrócił z bóżnicy i smutnie z żoną i dziećmi do pustego zasiadł stołu. Dzieci jego, biedne robaczki, wołały: Daj nam kawałeczek chleba, wszak my nie chcemy barchów (*), mały tylko, mały kawałeczek chleba — nam się jeść chce. A biednemu człękowi serce co wiele

(*) Rodzaj wykwintniejszego pieczywa, które zazwyczaj w sobotę miejsce chleba zastępuje.

dwie pękało z boleści, gdyż nie miał w domu ani kromki spleśniałego chleba. W tém nagle otwierają się drzwi i wchodzi służąca dobrego, szlachetnego i pobożnego Mordki Cemach, przynosząc i ryby i mięso i wino i barchy. To była radość dopiero! Dzieci podskakiwały wesoło, żona płakała, a Icek, omal że z zachwytu starzej waszej sługi nie ucałował. O, to mi dobrodziejstwo, to mi się podoba z waszej strony i z tego powodu, ja was poważam i szacuję tak — tak — jakbyście wcale żydem nie byli.

Słyszając to szczególniejsze zamknięcie pochwał, Reb Mordechaj gorzko się uśmiechnął.

— Panie Macieju! rzekł, nie mam teraz czasu na gawędki. Wiesz, jak jeszcze wiele mam dziś roboty. Wyszukajcie mi tedy najpiękniejszą rybę — zdaję się z tém zupełnie na was.

Rybak sumiennie przeglądał swoje zapasy, by godnie odpowiedzieć położonemu w sobie zaufaniu. Po niejakiem wahaniu wreszcie oświadczył się za dużym karpem. Reb Mordechaj zapłacił żądane zań pieniądze.

— Tę rybę, rzekł odchodząc, sam ze sobą zabiorę; bądźcie łaskawi później przysłać mi przez chłopca trzy mniejsze. Żona będzie w domu, to je zaraz zapłaci.

— Ej, powiedział rybak przebiegle, widzę, że Icek nie skłamał. Ale, patrz panie Cemach, i dziś podobno taki biedak ci się nadarza. Człowiek, co tak szybko ku mojej zdąży chacie, ma pewno zamiar kupowania. Jeśli nie, to cóżby go o tak rannej porze na brzeg sprowadzać mogło?

Rybak wkrótce został zawiedziony w swych oczekiwaniach, albowiem nieznamy ominął jego chatę, nie obejrzawszy się na niego nawet i dalej skierował swe kroki.

Chata starego Macieja położoną była tuż nad brzegiem, Reb Mórdechaj więc miał sposobność zbliżyć się do przelotnego. Był to mężczyzna lat około dwudziestu pięciu. Zdawał się przynależć do wyższego społeczeństwa warstwom. Cała jego odzież była w zaniedbaniu; brunatny włos w dzikim nieładzie spadał mu na ramiona. Jego piękne i regularne rysy były teraz straszliwie blade i wykrzywione, a oczy otaczały szero-

kie obrączki fioletowe. Konwulsyjne drganie zsiniałych ust było niezawodnym znamieniem okropnej burzy wewnętrznej.

— Chyba grubobym się pomylił, pomyślał Reb Mordechaj, gdyby człowiek ten nie był nieszczęśliwym.

Dobrotliwa Opatrzność we wszechmądrości swój bez granic wlała w serce sprawiedliwego, ten instynkt przedziwny odgadywania, gdzie pomocy jego zachodzi potrzeba... Myśl podobna błysła w duszy Reb Mordki. Postanowił udać się w ślad za młodzieńcem.

— Panie Macieju! nie zapomnijcie przysłać mi jeszcze trzy ryby. Żegnam was.

— Z Bogiem, panie Cemach, życzę wam przyjemnego święta. Niech wam ryby będą na zdrowie.

Reb Mordechaj oskrzydlił swe kroki by doścignąć nieznanomego. Uszedłszy porządny kawał drogi, zobaczył go na wierzchołku pagórka nad brzegiem. Zwrócony był do wody i zbyt sobą zajęty, iżby miał dostrzedz przybycia Reb Mordki. Ten ostatni zatrzymał się nagle.

Boleść młodego człowieka wynurzyła się niebawem w słowach, a Reb Mordechaj stał blisko dosyć, by dosłyszeć każdego z nich i przekonać się, że nie zblądził.

— Więc muszę umrzeć — rzekł młodzian drżącym głosem, — więc z życiem się rozstać, — a przecie tak pięknem jest ono — a przecie ja jeszcze tak młody, — więc muszę się oderwać — z zakrwawioną piersią oderwać od świata, z którym najsilniejsze miłości mnie wiążą ogniwa... Muszę opuścić rodziców posiwiąłych — na wieki się rozłączyć z kochanką Heleną, tym aniołem dobroci, piękności... Muszę umrzeć z tém bolesnym przekonaniem, że serce ojca mego po stracie jedynaka bić przestanie... ale lepiej że tak, niżby miał umrzeć ze wstydu, gdyby ujrzał jedyne swe, ukochane dziecię w więzach, shańbione, zbezczeszczone, oskarżone o podły występki... I czyż ja mogę zaprzeczyć temu — czyż powiedzieć mogę: Nie!? Mogę powiedzieć, jam uczciwy — mogę ja to powiedzieć!? Boże Wszchemocny! A przecież jam niewinien, a przecież obłudnik tylko nadużył mego zaufania — a przecież tylko

przyjaciel fałszywy mnie zdradził, oszukał. Ależ w oczach świata, w oczach sądu jam przestępca, jam złodziej!! złodziej!! Jam skradł pieniądze z kassy miejskiej, stracił dobro mi powierzone — jam złodziej — podły złodziej, — nie, nie! gorzej jeszcze niż złodziej! Złodziej otwiera zamek, złodziej nocą napada; można go się ustrzedz, a ja, jam okradł kasę mi poruczoną, zawiodłem położone we mnie zaufanie, splamiłem swe nazwisko, nazwisko, które przez wiele wieków jaśniało na kartach dziejów ojczystych, — ściągnąłem na głowę ojca posiwiąłego zaszczytnie w służbie ojczyzny hańbę, wstyd niewypowiedziany... A jednak jam niewinny, a jednak jestem tylko ofiarą łatwowierności... Gdybym był zbrodnię popełnił, zbrodnię krwawą — gdybym był człowieka zabił, to byłoby przestępstwo straszliwe, którebym życiem opłacić musiał... Ale to nie byłoby dla mnie tak poniżającym, tak hańbiącym, tak pełnym zgrozy, tak przekleństwa godnym, jak kradzież, podła kradzież... A jednak to mi niejaka ulgę przynosi, że sobie powiedzieć mogę, jam nie zawinił nic, wiara w poczciwość

przyjaciela — oto cała wina moja! A teraz, piękny świecie bywaj zdrowy! Boże wszechlitościwy, bądź miłościw dla biednej duszy mojej — przebacz przewinienie. Niechaj będą szczęśliwi — rodzice i Helena!

Dokończywszy tych słów, prędko zrzucił ze siebie oponczę.

— Dzień dobry panu, odezwał się teraz Reb Mordechaj, pan zamysłasz pewno się kąpać? Nie czyń pan tego. Rzeka w tém miejscu jest bardzo głęboką, a kąpanie się tu jest nadzwyczaj niebezpieczném.

Młodzieniec obejrzał się przestraszony. Jego twarz blada dotychczas, żywym spłonęła rumieńcem.

— Czegoż pan chcesz? — wyjąknął zakłopotany.

— Chcę powstrzymać pana od czynu nierozważnego, — nie kąp się pan w tém miejscu. Szkoda młodego życia, a potem... pan masz zapewne rodziców, czy nie? Możeś pan jedynek, jedyne dziecko może, może w panu spoczywają najpiękniejsze nadzieje jego rodziców, których pasmo żywota boleśnie przerwaném by zostało, gdyby się do-

wiedzieli, że syn ich jedyny znalazł grób w nurtach Mołdawy. A jeśli pan masz kochankę, żonę, czyż te zimne fale nie pochłonęłyby i całego ich szczęścia, wszystkich nadziei?

Serce ludzkie podobnym jest arfie Eolowej: łagodny, przewiewający wiaterek najwdzięczniejsze zeń wydobywa tony...

Reb Mordechaj w życiu swém dostatecznie zbadał serce ludzkie. On podsłuchiwał monologu młodego człowieka i postanowił sobie cokolwiekbądź, odwieść go od samobójczego zamiaru.

Wrodzony dowcip jego łatwo mu dostarczył środka po temu. Zacząwszy rozmowę, głosowi swemu taką nadał naturalność, taką serdeczność, że młodzieniec ani na chwilę przypuszczać nie mógł, jakoby on znał chęci jego. Reb Mordechaj słyszał dosyć, ażeby raz jeszcze, niby przypadkiem, potrącić o najdrażliwsze struny jego serca, które w nim teraz bolesnym odezwały się echem.

Rzęsisty potok łez ulżył ściśnionej piersi młodzieńca. Reb Mordechaj widział dobrze, że słowa jego nie były bez skutku; cel je-

dnak jego w zupełności jeszcze nie był osiągnięty. Reb Mordechaj zaś nie należał do tych, co to rzeczy w połowie zaprzestać zwykli.

— Pan sam teraz przyznasz pewnie, że byłoby to lekkomyślnością nie do przebaczenia, chcieć się kąpać w tém miejscu niebezpiecznym. Dzięki składam Najwyższemu, który mnie tu przyprowadził dla powstrzymania pana od tego... Ale, niechaj mi pan za złe tego nie weźmie. Łzy, które wycisnęło panu wspomnienie o rodzinie, są mi szlachetnego jego serca rękojmnią i ośmielają mię do prośby zuchwałej.

Młodzieniec dotychczas w oniemienu spoglądał na Reb Mordkę. Cała istota tegoż, a mianowicie szczególniejszy ów sposób, w jaki z nim wszczął rozmowę, głębokie na nim uczyniły wrażenie. Pomimo wzburzonego stanu umysłu, w jakim się znajdował, czuł on jednak jasno i wyraziście, że postępowanie żyda, pewne wkładało nań obowiązki.

— Jeśli w mojej mocy, odparł, usłużyć wam czemkolwiek, chętnie to uczynię.

— Jestem niepiśmienny i przed dziewiątą jeszcze koniecznie mi do magistratu miejskiego podać prośbę potrzeba. W przeciwnym razie wielkąby na dobytku i mieniu poniósł szkodę. Bądź pan łaskaw udać się wraz ze mną do mieszkania mojego, by tam pismo ułożyć. Nie wiele to czasu panu zajmie, z chęcią wynagrodzę mu i trud i opóźnienie, oprócz tego nieskończenie będę panu wdzięczny.

— Przed dziewiątą! powtórzył młodzian z drżeniem konwulsyjnym.

— Nie odmów mi, panie! rzekł znowu Reb Mordechaj. Zdaje mi się, żeś tylko ty mi pomóżd w stanie, że to z dopuszczenia bożego jam spotkał cię dzisiaj. Chodź pan ze mną!

— Pójdę z wami, odrzekł młodzieniec, ale śpieszmy, bo do dziewiątej jeszcze mi ważne, bardzo ważne sprawy pozostają do załatwienia.

Dwaj mężowie w milczeniu zmierzali ku przedmieściu żydowskiemu.

bowi szabat był rajem, a wigilia szabatowa przedronkiem doniego. Na ulicy stały dzwony, a wewnątrz do spuszczania, a każdy z parochianów przynosił sobie jeden kielich szabat. Przed sklepami korzeniami, oliwą i winem, wesoły rozlegał się gwar. Każdy do domu chodził jak najprędzej zapakowany się w wózek lub kółko, aby do domu i korzeniami do szabat. Wskazywało się z łobozem w ręku.

II.

Na przedmieściu żydowskiem panował już żywy ruch. Widziano tylko wesołe oblicza. Ucisk średniowiekowy jeszcze droższą i szanowniejszą czynił żydowi wiarę jego. Zapoznawany i wzgardzony od swoich współobywateli, żyd z dwakroć silniejszą miłością zwracał się do ciasnego kółka braci swych po wierze... Wykluczony z życia publicznego, czuł się panem jedynie w szczupłych granicach swojego Ghett'a... Świat odepchnął żyda, więc on powrócić musiał do swojego świata, do swęj świętej wiary... Ale jakże kochał żyd wtedy swą wiarę, z jakim zapalem doń był przywiązany! — Nauka zakonu była jego rozkoszą, wykonywanie praw onegoż, szczęściem najwyższem... Każdemu ży-

dowi Sabbat był rajem, a wigilja Sabbatu, przedsionkiem do niego. Na ulicy stały dziewczęta z bukietami do sprzedania, a każdy z przechodniów kupował sobie jeden ku czci Sabbatu. Przed sklepami korzennymi, oleju i wina, wesoly rozlegał się gwar, każdy bowiem chciał jak najwcześniej zaopatrzyć się w wino na kidusz*), olój do lamp i korzenie do jadła. Widziano mężów z tałesem w ręku do synagogi śpieszących; inni znowu, jak Reb Mordechaj, wracali już z nad rzeki z rybami, w białą chustkę owiniętymi. Widziałeś dziewczęta skwapliwie do piekarni biegnące, by ogromne barchy, które na deskach niosły, polecieć staranności piekarza, sługi z drobiem pośpiesznie do rzeźnika dążące, chłopców w koszach zanoszących mięso bogaczom.

Reb Mordechaj i jego towarzysz z trudnością tylko mogli przecisnąć się przez ten tłum różnorodny. Reb Mordechaj cieszył się tym ruchem, tém życiem, towarzysz zaś jego

*) Błogosławieństwo wymawiane co piątek wieczór nad kielichem wina.

ponuro spoglądał na tę działalność wielobarwną. Wszak on tak wrychle pragnął z życiem się rozstać, a przecie tak piękném było ono...

Nakoniec Reb Mordechaj zatrzymał się przed jednym z domów.

— Tu moje mieszkanie, rzekł, zacny panie, ja pójdę naprzód dla pokazania ci drogi.

Młodzieniec wszedł za nim po dość wązkich wschodach. W mieszkaniu powtórzył się ruch uliczny w zdrobnieniu. W kuchni gotowano, pieczono i skrobano. W pokoju ochędoźnie, jak widać było, utrzymywanym, ściany pozbawione były zwykłych swych ozdób, gdyż właśnie Bela, żona Reb Mordki, ośmioramienną lampę szabasową i lichtarze ścienne dla oczyszczenia pozdejnować kazała.

Dwoje dzieci krasno-licych, chłopczyk i dziewczynka, wybiegły na spotkanie ojca i całowały go po rękach.

— A, Mordko, dziś długoś się zabawił, zawołała żona jego; nieobecność twoją wcale sobie wytłomaczyć nie mogłam.

— Zabawiłem, prawda, trochę dłużej jak zwykle — sprowadzam gościa.

Bela ukloniła się z uszanowaniem młodemu człowiekowi, który przyszedł z jej małżonkiem.

— Pozwól pan z łaski dalej.

Weszli do drugiego pokoju. Reb Mordechaj zamknął drzwi na klucz i wetknął go do kieszeni.

— Siadaj pan dobrodziej.

— Dajcie mi pióro i atrament, napiszę wam prośbę; ale prędko, czas upływa a mnie się śpieszy.

— Ja umiem pisać, tak jak i pan, nie potrzeba mi więc pomocy pańskiej.

— Zatem czegoś pan chciał odemnie, czemuś mnie zwabił do siebie?

— By cię zbawić, odrzekł Reb Mordechaj poważnie.

Młodzieniec porwał się ze swego siedzenia.

— Bądź pan spokojny. Udało mi się szczęściem podsłuchać pana. Znam zamiar pański, ale znam i rodzaj nieszczęścia twojego. Grubo myliłbym się chyba, gdyby tu pomoc nie była podobną. Ile panu potrzeba dla ocalenia swego imienia, honoru i życia?

Młodzieniec oniemiały wlepił oczy w mó-

wiącego. Był-li to żart piekielny ze strony żyda, urągającego męczarniom nieszczęśliwego, by pomścić na nim zniewagi, przesładowanie może, jakie znosić musi od współwyznawców jego? Był-li to sen? A może też on źle zrozumiał żyda?

Reb Mordechaj zauważył to.

— Dlaczegoż tak dziko wpatrujesz się pan we mnie? rzekł po niejakim przestanku. Gdyś pan przechodził przed chatką rybaka, twoja mina zrozpaczona, uderzyła mnie. Na pierwszy rzut oka zarazem się domyślił, co cię tak rano na brzeg rzeki sprowadza. Udałem się za tobą w ślad, a choćś szedł prędko, przybyłem jednak, za łaską Bożą, o właściwym czasie. Słuchałem twego wyznania i jestem gotów, o ile mi sił starczy, pomódz ci, panie! Nie jesteś występny a łatwowierność jedyną może nieszczęścia twego przyczyną.

— Tak, na Boga! — Pieniądzy tych pożyczylem przyjacielowi mojemu dla uratowania go. Przysiągł na zbawienie duszy swojej, że mi je odda wczoraj. Nie był, zwiódł mnie, oszukał. Dziś ostatni miesiąca. O dzie-

wiątej godzinie mam zdać rachunek i okazać stan kassy mi powierzonej. Zobaczą, że znacznej summy brak, uwiężą mnie, mnie —

Nadzwyczajna boleść nie dała nieszczęśliwemu mówić więcej.

— Czyż summa ta jest tak znaczną? spytał Reb Mordechaj.

— O, bardzo znaczną, dla mnie szczególnie. Rodzice moi, lubo z dawniej szlachty, w nie nazbyt świetnych znajdują się okolicznościach. Ojciec mój długo służbę ojczyzny na polu boju sprawował. Gdy wiek jego podeszły i rany odebrane zmusiły go zaprzestać rycerskiego rzemiosła, zamienił miecz na pióro. Został kasjerem w urzędzie królewskim. Ale i do tych obowiązków stał się wkrótce niezdolnym, gdyż rany jego odnawiały się od czasu do czasu i rzucały go o łoże. Długoletnia jego służba dawała mu prawo do łaski szczególniejszej. Prosił o umieszczenie syna na zajmowaném przez siebie stanowisku. Przyzwolono; jam objął urząd ojca. Żem nie jak należało wypełniał swe powołanie, już panu wiadomo; ale, gdybyś wiedział

jak mnie zawiedziono, uniewinniłbyś mnie pewnie...

Miałem przyjaciela młodości — Alberta; dziećmi poznaliśmy się w szkole i wcześniej już wzajemną ku sobie poczuli sympatją. Przywiązaliśmy się do siebie miłością nadzwyczajną, podrastaliśmy, a węzeł przyjaźni naszej z dniem każdym stawał się silniejszym. Albert był przyjacielem poświęcającym się i często bardzo podczas uniwersyteckiego życia naszego szczerości uczuć swoich dla mnie dawał mi dowody. Opuszczając uniwersytet i podążając każdy za swym losem, zaprzysięgliśmy sobie święcie pamiętać wiecznie o przyjaźni naszej i wspierać się wzajem na ciernistej życia drodze. Nie rzadko potrzebo wałem usług przyjaciela. Jeżeli skutkiem choroby ojca wyczerpała się mała kassa moja, jam do Alberta szedł zaufany a on pożyczki nigdy mi nie odmówił. Jeżeli wstrzymany obowiązkami powołania, nie mógł znajdować się przy łożu boleści ojca mojego, *on* z więcej jak synowską troskliwością go pielęgnował...

Obajśmy jedno kochali dziewczę... Jeden

z nas był powinien, jeden zrzec się musiał... Albert wydarł miłość ognistą ze skrwawionej piersi swojej — zrzekł się... Przeniósł przyjaźń nad miłość.

Jam to wszystko — wszystko to jeszcze mu niczem nie był wynagrodził, jam przyjął ofiarę zbolełego serca jego, najmniejszą nie odwdzieczywszy się usługą. Ogrom wdzięczności ciążył mi na sumieniu, z utęsknieniem wyglądałem chwili, w którejby on zażądał méj pomocy. Ta chwila pożądana nadeszła zbyt prędko, niestety! Przed ośmiu dniami wpada do mego pokoju przyjaciel mój zdyszany i z miną zakłopotaną rzecze: Ty mnie ocalić musisz, ty jeden tylko ocalić mnie możesz!

— Czego sobie życzysz, spytałem przyjaźnie, jestem na usługi.

— Potrzeba mi koniecznie 5,000 złotych. Musisz mi ich pożyczyć. Całe szczęście moje od tego zawisło.

— 5,000 złotych? spytałem zdumiony — czy żartujesz?

— Ja, zdaje mi się, nie bardzo żartobli-

wie wyglądam, zawołał Albert w uniesieniu, w jakim go jeszcze nigdy nie widziałem.

— 5,000 złotych jednak pożyczyc ci nie mogę, bo ich nie posiadam.

— Nie możesz? — nie chcesz, powiedz raczej.

— Wszakże wiesz, Albercie, odparłem z najżywszą boleścią, ja jestem biedny.

— Co? zamykasz codziennie sta tysięcy, które spoczywają bezwładnie, żadnego nie przynosząc pożytku, a nie możesz wziąć 5,000 złotych, by wspomóc niemi biednego nieszczęśliwego przyjaciela?

— Jakto? zawołałem zdumiony — ty możesz żądać po mnie, żebym z kassy miejskiej...

— Czyż żądam, żebyś skradł? krzyknął Albert; pożyczki chcę od ciebie, nie daru, — czy słyszysz, pożyczki na kilka dni tylko.

— Ależ obowiązek — odrzekłem.

— Obowiązek, obowiązek! wołał głosem rozzierającym serce moje; o! biada twojej moralności, twojej cnocie, a szczególnie przyjaźni twojej. — Tak, prawdziwym przyjacielem jesteś — na to nic powiedzieć. — Obowiązek!!! Czyliż co złego masz popełnić?

Albo czyż myślisz, że ja ci tych pieniędzy nie zwrócę? Ja — ja, którym dla ciebie poświęcił wszystko, zatrzymałbym pieniądze twoje? Czy ja także mówiłem: moja miłość, moja jedyna, niezapomniana, moja święta miłość! gdym rzekł się Heleny, tego bożyszcza mojego?

— Ależ, niebaczny! wołałem, mój obowiązek, mój honor!

— Przyjaźń ty lekce bardzo sobie ważysz, odrzekł Albert gorzko — miłość, obowiązek, honor, to wszystko naprzód!

— Serce mi zakrwawiasz, tém gorzkiem swoim szyderstwem, rzekłem, ależ zważ, zważ to z zimną krwią. Za ośm dni ostatni miesiąca. Rewizja kassy, jeśli nie dostaje czegoś — mój honor, wolność moja stracone — jeszcze więcej, honor ojca, którego miejsce zastępuję — a znasz surowość nieubłaganą, z jaką prawo przeniewierzenie się karze.

— Do owój chwili zwrócę ci pieniądze, słowo daję, przysięgam na zbawienie duszy nieboszczki matki mojej — odniosę ci je

w południe przedostatniego dnia tego miesiąca.

Albert jeszcze nigdy nie skłamał. Miałem powód wierzyć słowu jego. Czyż mogłem przeczuwać, że *nierwsze* kłamstwo w jego życiu, będzie zdradą przyjaciela?

— Przyjdź w południe, pieniądze będą przygotowane. Wziąłem, opowiadał dalej młodzieniec z gorzkim uśmiechem, wziąłem 5000 złotych z kassy mi powierzonej. Zamilczałem o tém przed ojcem; bo on by nigdy nie zezwolił na to.

W południe przybył Albert, odebrał pieniądze i poprzysiągł raz jeszcze, że mi je odniesie za dni ośm, w przedostatni miesiąca.

— Do czego ci tak pilno téj kwoty potrzeba, zapytałem go.

— Powiem ci to później. Teraz bardzo mi śpieszno; muszę natychmiast odjechać. Za kilka dni znowu będę przy tobie.

Nie objął mnie tą razą, jak to poprzednio czynić był zwykł — i poszedł. Gdy wychodził z mojego pokoju uczułem, zapóźno niestety! żal z powodu występku mojego. Ośm dni następnych były dla mnie męczarnią nie

do opisania. Skoro otwierały się drzwi mojego pokoju zdawało mi się, że opadają mnie nagle dla zażądania rachunku ze stanu kas-sy. Jeżeli ktoś z moich przełożonych przypadkiem spojrzał na mnie, bladłem i poczy-nałem drzeć, sądziłem się zgubionym. Co dzień chodziłem dowiadywać się do ojca Alberta, — nie wracał. Wczoraj w południe był ostatni termin, ślubował uroczyście, że w tym dniu zwróci mi pieniądze, — nie przybył. Pośpieszyłem do jego ojca, Alberta jeszcze w Pradze nie było. W najokropniejszym strachu, w największych udręczeniach duszy, przeczekałem całe popołudnie w domu jego ojca, by prędzej ujrzyć tak boleśnie upra-gnionego. Od czasu do czasu biegłem do swojego mieszkania, w téj próżnej nadziei, że go już u siebie zastanę — alem zawsze zostawał rozczarowany. Dopiero późno wieczorem ojciec odebrał list od niego. Żegnał się z nim czule, żegnał na wieki. „Nieszczę-śliwa miłość, pisał, wypędza mnie z ojczy-zny — nie mogę widzieć szczęścia łupieżcy najwyższej rozkoszy życia mojego...”

Jak błyskawica myśl ta przeszła mą du-

sze, poznałem jego zamiary... On zrzekł się Heleny, ale żałował już wspaniałomyślności swojej; czas ślubu mojego zbliżał się... Jego przyjaźń zamieniła się w nienawiść śmiertelną. Chciał się zemścić, chciał jedném uderzeniem, jedném strasliwém uderzeniem zniweczyć najpiękniejsze moje marzenia. — Chciał mnie piętnować w oczach świata całego, chciał mnie okryć hańbą, żeby Helena ze zgrozą odwróciła oko swe od nędznika... Udało mu się — wybornie udało... Za kilka godzin jam zniesławiony — a choć przez śmierć ja ujdę hańbiącego oskarżenia, me imię — imię ojca mojego zniesławione — a Helena przeklinać będzie wspomnieniu o mnie.

Młodzieniec zamilkł, pokrył obiema rękoma twarz swą we łzach skapaną.

— Całą noc, ciągnął po jakimś przestanku dalej, całą noc nie zmrzyłem oka — z występku mojego uniewinniłem się w liście przed rodzicami i Heleną. List otwarty leży na stoliku w moim pokoju, zamkniętym na klucz. Widzisz pan więc, że teraz inaczej sobie postąpić nie mogę. Oszczędzaj słów.



Zamiar pański pewnie jest szlachetny, chwalebny — ale ja dłużej żyć nie mogę. Już mi nikt nie pomoże. Ja umrzeć muszę. Dziękuję panu za jego starania; cieszy mnie to niezmiernie, że przed rozstaniem ze światem, zdarzyło mi się jeszcze napotkać człowieka tak szlachetnego jak pan; a tém więcej ujęty tém się czuję, że należysz do związku religijnego, przeciw któremu ja, jak i wielu w naszych czasach, tak wielkiej często dopuszczałem się niesprawiedliwości — w myśli przynajmniej... A więc raz jeszcze serdeczne, szczere składam panu dzięki za jego szlachetne, człękolubne znalezienie się!

Domówiwszy tych słów, młodzieniec chciał się podnieść. Reb Mordechaj silném ramieniem swém zatrzymał go na krześle.

— Jeszcze się wszystko poprawi, rzekł, nie rozpaczaj pan.

Wczoraj odebrałem od sąsiada, pożyczony mu pieniądze; jestem przeto w stanie dostarczyć panu pięciu tysięcy złotych, których dziś potrzebujesz. To mówiąc wyjął ze stariej szafy kilka paczek złota, kilka worków z talarami i położył na stole.

— Zdaje mi się, że będzie, — nie masz pan potrzeby liczyć.

— Na co mi to? spytał młodzieniec.

— Dziwne pytanie, odparł Reb Mordechaj; weź pan te pieniądze, idź do urzędu, połóż na swoje miejsce brakującą summę i potem — oczekuj spokojnie swych przełożonych.

— Jako? czyż się nie mylę? rzekł młodzieniec wyszedłszy z najwyższego zdumienia, pan chcesz mnie, obcemu, którego nazwiska nie znasz, pożyczyć summy tak wielkiej — mnie, którym ci wyznał przestępstwo, przez nieszczęśliwe okoliczności podniesione do zbrodni? Mnie to chcesz powierzyć tak znaczną część swojego majątku, — może majątek cały?

— Jesteś pan nieszczęśliwy, a to samo już czyni cię nie obcym sercu mojemu, to, co się panu tak niesłychanem wydaje, u mnie jest tylko prostém spełnieniem obowiązku. W mojej mocy teraz ocalić życie młodemu, pełnemu nadziei człowiekowi, — w mojej mocy zwrócić sędziwym rodzicom syna, — w mojej mocy odsunąć okropne nieszczęście od

koła ludzi poczciwych — czemużbym nie miał uczynić tego?!

— Ależ, czyż wolno mi nadużyć szlachetności waszój? W jaki sposób uiszczę się z tak znakomitej summy? Dochody moje są skromne, ojciec schorzał...

— Przestańmy o tém, rzekł Reb Mordechaj. Nie naglę o zwrot pieniędzy. Mogę się obyć bez nich. Dochody z dobytku mojego zapewniają mi utrzymanie przyzwoite. Jesteś pan młody, nie wiecznie na tym co dziś pozostaniesz urzędzie; wtedy czas pomyśleć o upłacie. Jestem przekonany, że mi zapłacisz, może później cokolwiek, ale zapłacisz uczciwie. Teraz zaś, proszę, oddał się pan jak najprędzej. Słyszę, na wieży poblizkiej uderza godzina ósma; a pan masz załatwić jeszcze i to i owo. Musisz zniszczyć koniecznie list, teraz niepotrzebny, następnie zaraz udać się do biura, ażeby wszystko w należytym czasie było gotowem i najmniejsze nawet podejrzenie powstać nie mogło.

Młodzieniec chciał dziękować, ale tak głębokie owładnęło nim wzruszenie, że za wszystkie skarby świata nie zdołałby przemówić

słówka. W milczeniu uścisnął dłoń Reb Mordki, wziął pieniądze i zwrócił się ku drzwiom. Tu przystanął raz jeszcze. Widać było jak usiłował się opamiętać.

— Szlachetny, wielkoduszny mężu! zmuszony jestem swe serdeczne, gorące dzięki zamknąć w głębi piersi mojej; ale przysięgam — nie zbawiłeś niewzdzięcznika!

Ale... czyż wolno mi prosić o nazwisko tego, który niby anioł-stróż od Boga zesłany, zwrócił mnie życiu, zwrócił ukochanym?

— Nazywam się Mordechaj Cohen, przydają mi tu zwykle przydomek Cemach.

— I czyż żądasz, szlachetny mężu, dowiedzieć się o mojem — nazywam się...

— Jest to zbyteczne i niepotrzebne, dowiem się później jak się nazywasz. Bywaj pan zdrów! Już późno, spiesz się, zaklinam, śpiesz!

To mówiąc Reb Mordechaj otworzył drzwi i wyrzekł głośno:

— Bywaj pan zdrów! Spodziewam się, że go kiedyś znów ujrzę u siebie!

Nieznamomy odszedł, uściskawszy raz jeszcze w milczeniu dłoń Reb Mordki.

słowka. W milczeniu uciekał głosił Reb Mord-
 ki. Wzrost pędził i zwrócił się ku światom.
 Tu przystanął ten jeszcze. Widział było jak
 niosł się opamiętał. —
 — Złoty, wielkoduszny, męski, zna-
 tosy jestem two serdeczo, gorące dążeń
 znowu w głębi pisał, ale przysię-
 gam — nie chwalić —
 Ale... czyż wolno, to przed o nas...

III.

Zanim pójdziemy dalej w opowiadaniu na-
 szém, rzucmy jeszcze przelotne spojrzenie na
 minione życie Reb Mordki.

Był on jedynym synem Reb Gersona, bo-
 gatego złotnika i za młodu już okazywał naj-
 piękniejsze zdolności. Ojciec jego, przynale-
 żąc do stanu wielce poważanego, w owym cza-
 sie mianowicie, dał jedynakowi swemu jak
 najlepsze wychowanie. Dla rękodziela swo-
 jego wczesnych będąc stosunkach z wysoką
 szlachtą i duchowieństwem, on chciał, ażeby
 syn jego nie tylko biegłym był w nauce Za-
 konu, powszechniej podówczas pomiędzy ży-
 dami, ale nauczać go także kazał i tych u-
 miejętności, znajomość których uprzywilejo-

wanym tylko w owych wiekach dostępną była.

Ziarno, przez Reb Gersona rzucone na żyzną padło glebę, umysł bowiem tego bogato obdarowanego młodzieńca rozwijał się szybko i już w piętnastym roku życia był w stanie wysłowiać się płynnie kilku żyjącymi językami, a nawet po łacinie.

Równocześnie z umysłem i serce jego otwierało się dla wszystkiego, co piękne i dobre. Łatwo się domyśleć, że Mordechaj był dumą, szczęściem ojca swojego.

Aż do wieku dojrzałości prawie życie Mordki było spokojnym i szczęśliwym. Ale nagle zmieniły się okoliczności. Reb Gerson, skutkiem kilku prędko po sobie następujących nieszczęść, stracił cały swój majątek, więcej jeszcze, nie mógł wypełnić przyjętych na siebie zobowiązań.

Boleść z utraty pocziwego imienia rzuciła tego cnotliwego o łoże, które opuścił tylko, by na wieki rozstać się z ukochanym swym dziecięciem.

Mordechaj był młodzieńcem siedemnastoletnim, kiedy został sierotą.

Był on teraz sam jeden na świecie, bo matkę stracił dzieckiem jeszcze. Pierwszém jego postanowieniem, jakie uczynił wyrwawszy się z bolesnego odrętwienia, było przywrócić dobre imię nieboszczyka ojca. Wziął się do rzemiosła zgasłego i pracował w niem z niez-mordowaném wytrwaniem, z niesłychaną pilnością. Nadzwyczajne jego zachody jak najświetniejszym uwieńczone były skutkiem; już po pięciu latach pracy spłacił wszystkie długi ojcowskie.

Teraz dopiero swobodnie mógł odetchnąć. W tymże czasie poznał i umiłował sobie dziewczę, córkę sąsiada... Ale jej nic dać nie mógł — był ubogi; wszak on bogate owoce trudu swojego poświęcił był błogosławionéj pamięci rodzica...

Lecz nagle... i ona, jak i on, stała się sierotą, a nie zadługo potem edykt królewski wywołał żydów z Czech.

Nieszczęśliwa sierota nie wiedziała dokąd ma zwrócić kroki swoje, Mordechaj ofiarował jej pomoc swoją, chciał podzielić z nią losy wszelakie... Bela, oddawszy mu swą rękę

udała się wraz z nim do Polski, gdzie większą część wygnańców przytułek znalazła.

W ośm lat później, roku 1550, cesarz Ferdynand I przyzywał żydów napowrót do ojczyzny. Obwiniano ich, jakoby z Turkami w zмовach potajemnych pozostawali, teraz przekonano się o całej bezzasadności i kłamliwości tych oszczerstw. Jedyną satysfakcją jaką dano wygnanym było odwołanie. Nie wszyscy wszakże wrócili. Pomiedzy stęsknionemi za krajem ojczystym był Reb Mordechaj i żona jego. Osiadł powtórnie w Pradze a stanowisko jego w tém mieście stało się wielce przyjemném... Bogata jego wiedza z jednywała mu najzupełniejszy szacunek i cześć, szlachetne serce — miłość otaczających. Przy pracy i oszczędności udało mu się podczas pobytu w Polsce nie mały, jak na owe czasy, zebrać majątek. Część onegoż obracał na cele dobroczynne, a jeśli dawał wsparcie nieszczęśliwemu, działo się to w czasie tak stosownym, z taką miłością, że wartość datku podnosiła się o wiele kroć... Nie było ubogiego, któryby bez jałmużny —

utrapionego, któryby bez pociechy opuścił dom Reb Mordki...

Rok może po powrocie Reb Mordki z Polski przytrafił się wypadek, co tylko opowiedziany. Reb Mordechaj z zupełnem przeświadczeniem poświęcił cały swój majątek dla ocalenia człowieka wcale sobie nieznanego, którego nazwisko i teraz jeszcze obcem mu było... Nie był to u niego gwałtowny napad serca, co nagle stało się panem rozwagi,—nie, to było dlań spełnieniem obowiązku dobrze pojętego...

Jednakże, gdy nieznanomy zamknął już drzwi za sobą, Reb Mordkę opadło jakies uczucie nieprzyjemne.

Nie podlega wątpliwości, że człowiekowi to tylko pięknem się wydaje, co posiadał kiedyś a stracił, albo to, co tak wysoko ponad nim się znajduje, iż jest niepodobieństwem, by go dosięgnąć mógł. Zgasły, który nam za życia był drogim, przez śmierć, promiennym, świętym się staje... W oddali tęsknota za ojczyzną jest najsilniejszą. To co już jest naszą własnością, zdaje się nam błą-

hem i bez wartości w porównaniu z t \acute{e} m, za c \acute{z} em d \acute{a} żymy.

Dotychczas Reb Mordechaj jeszcze nie pomyślał nigdy, że on nagle wydartym być może sw \acute{e} j rodzinie... Lecz od razu jakoś myśl ta zrodziła się w nim, myśl, która go w t \acute{e} j chwili w \acute{l} asnie podwójn \acute{a} napełniała trwog \acute{a} , ponieważ był teraz bez mienia i utrzymanie nadal siebie i rodziny widział jedno w pracy w \acute{l} asnej i trudzie...

Chwilk \acute{e} , ale *jedn \acute{e}* chwilk \acute{e} tylko mniemał, że dopuścił się zdrady przeciw małżonce i dzieciom...

Wkrótce znów wstąpiło weń to uspakajające przekonanie, że wykonał świąt \acute{y} obowiązek miłości bliźniego, a spokój duszy jego i wesołość wróciły.

Zaniedługo weszła Bela. Ciekawa, jako wszystkie córy Ewy, chciała się dowiedzieć w jakim to w \acute{a} żnym interesie nieznanomy, którego nigdy przedtem nie widziała, przybył do ich domu tak rano. Ze interes był *w \acute{a} żnym*, o t \acute{e} m nie w \acute{a} tpiła wcale.

— Ej, Mordechaj, dobry to Erew-Szabbes*) już z samego rana tak wiele zarobić.

— Tak, odparł Reb Mordechaj z uśmiechem, w samej rzeczy śliczna dostała mi się gratka, interes, który im dłużej się zastanawiam, korzystniejszym mi się wydaje.

— Ciesz mi to tem bardziej, że i sprzedający bardzo zdawał się uszczęśliwionym. Wesele promieniało z jego oblicza. Wszakże pokażesz mi, Mordko, coś kupił, te perły, kosztowności...

— Daj pokój na dziś, kochanie, odrzekł Reb Mordechaj, tyś zajęta, a potem... nie chciałbym powiedzieć ci tego w Erew-Szabbes. Myśli téj nie mogłabyś się opędzić przez szabbes cały, a wiesz, że nie cierpię kiedy się ktoś w świętym dniu Sabbatu powszedniemi myślami zaprzęta. Dla tego, luba żonko, wstrzymaj się do Moce-Szabbes**), albo do niedzieli.

*) Piątek, wigilja Sabbatu.

**) Sobota wieczorem.

Bela nadto miała poważania dla męża swojego, by mu sprzeciwić się w czemkolwiek. Milcząc, poszła do drzwi, ale ciekawość wzięła górę... stanęła.

— Mordechaj! czyn jak ci się podoba, — ale muszę cię uprzedzić, że chybisz celu, skoro mi nic nie powiesz o tem. Jestem ciekawą... to już wada moja, więc pomimowoli cały dzień jutrzejszy myśleć będę, coby to mógł być za interes, nie uczczę Sabbatu jak przystało, więcéj jeszcze będę niespokojną.

Reb Mordechaj zamyślił się głęboko. On przedsięwziął nic o wydarzeniu dnia dzisiejszego nie wspomnieć przed żoną, ażeby jój nie martwić, ażeby jój nie zatruć Szabbasu.

Bela znowu nie była przywykła, żeby małżonek odmawiał jój czegokolwiek. W postępowaniu jego było coś zagadkowego, co ją niepokoiło.

— Tyś nic nie kupił od tego człowieka, ukrywasz przedemną. Może jakie nieszczęście się wydarzyło, może całemu kłał *) zagraża

*) Powszechność, ogół.

gezere *) jakaś, może na współwyznawców naszych nowe jakieś rzucono bilbul **), a ty, jak zwykle, poświęceniem własnego majątku usiłujesz odeprzeć zawziętość nieprzyjaciół naszych... O! poznaję po mowie, o! już ja wiem dobrze co to u ciebie *ślicznej gratki dostać* znaczy...

— Nie, nie to wcale... Dzięki i chwała Najwyższemu, rzecz jest nie tego rodzaju. Ale, gdy koniecznie pragniesz się dowiedzieć, powiem. Siadaj i posłuchaj. Sądzę, że pochwalisz moje znalezienie się i jestem pewny, że ty na mojem miejscu tak samo byś uczyniła.

Mordechaj dźwięcznym swym głosem zaczął opowiadanie. Z przyciskiem rozwodził się nad widocznym zrzędzeniem bożem w spotkaniu się jego z młodzieńcem. Powtórzył cały monolog onegoż z takim zapalem i przejęciem, że Bela od łez powstrzymać się nie mogła. Z uwagą nateżoną do najwyższego

*) Cierpienie, nieszczęście, nieprzychylne postanowienie.

**) Znaczy tyle co: oszczercze oskarżenie.

stopnia słuchala słów jego. Skończył wreszcie. Spojrzał na swą żonę, która nie mogła ukryć swego zadziwienia.

— Oddałeś mu prawie cały majątek? spytała po chwili.

— Tak jest. Szczęśliwym trafem miałem go gotówką w srebro i złocie.

— Jak się nazywa ten człowiek, czy zwróci ci pieniądze?

— Nie wiem.

Mordechaj wyrzekł te słowa, jak gdyby najprostszej i najzwyczajniejszej tyczyły się sprawy.

— 5000 złotych pożyczyłeś obcemu, nieznanemu?

— Nieszczęśliwemu, któremu przez to jedynie, życie ocalić był w stanie.

— Czyś życia jego ocalić nie mógł w inny sposób? Powinieneś go był od samobójstwa odwieść, nie wskazując jednak siebie na nowo na gorzki niedostatek.

Powinieneś mu był wykazać całą niskość podobnego czynu, a w końcu wesprzeć go częścią swęj chudoby. — Ale wszystko, oddać wszystko, to nie było twoim obowiązkiem.

Wybaczysz, że tak o obowiązkach twoich przemawiam do ciebie uczonego, biegłego w Zakonie... Ja nie mogę inaczej... Głos szlachetnego serca twojego zagłuszył rozum i obłąkał cię. Czyli nie sam powiedziałaś mi niedawno: Chwała Panu Bogu, uciułaliśmy coś, zarobek źle idzie teraz, nie tak łatwo przeto mógłbym was wyżywić pracą rąk swoich! A dziś... znowuśmy biedni. A komu to takie wyświadczyłeś dobrodziejstwo? Komu poświęciłeś swój majątek? — Być może, nie, pewnie niewdzięcznikowi! Nie jest to żaden z współwyznawców naszych, z którymi cierpimy i bolejem... Nie, jest to jeden z narodu, wpośród którego żyjemy — a może jeden z tych, co nas nienawidzą, co nami gardzą, z okrutną swawolą nam urągają, wyśmiewają, krzywdzą nas...

— A gdyby i tak, odrzekł Reb Mordechaj spokojnie, gdyby on sam nienawidził mnie, pokrzywdził, gardził mną — gdyby, przypuścimy, dopuścił się tego wszystkiego, czyż przeto ja od obowiązków moich byłbym wolny? Czyżbym ja był w prawie płacić nienawiścią za nienawiść dla tego, że *on*, opa-

nowany szalem jakimś zwodniczym, miłość bliźniego, którą Bóg zaszczylił w sercach wszystkich ludzi, źle pojmuje i zapoznaje? Nie! — Jabym się raczej nad nim litować był powinien, ale nie nienawidzić... A potem, może to przyjaciel współwyznawców naszych.. źle by z nami było bardzo, gdyby wszyscy ci, wśród których żyjemy, byli wrogami naszymi. Jeszcze raz ci powiadam, że słusznie uczyniłem i cieszy mnie, że tak postąpiłem. A teraz, kochana żono moja, zaprzestańmy tej rozmowy. Wciągu dziesięcioletniego pożycia naszego, nigdyśmy się jeszcze nie kłócili; *boli* mię to bardzo, że pod tym względem właśnie się nie zgadzamy. Spodziewam się, przyznasz mi kiedyś, że dobrze zrobiłem.

Bela czuła, że za daleko się posunęła w swoich wyrzutach. Za dobrze znała delikatny sposób wysłowienia się małżonka, ażeby się nie domyśleć, że ostatnie te wyrazy *w jego uściech* największe znaczyły udręczenie.

Szlochając, objęła za szyję męża.

— O Mordechaj! I za wszystkie skarby świata nie przyczyniłabym ci bólu, o przebacz!

w pierwszej chwili nikt nie jest panem siebie — byłam zdziwioną. Masz racją. Bóg nas nie opuści; a choć jesteśmy ubodzy teraz, będziem jednak szczęśliwi... Przy twoim boku, zacny, szlachetny mężu, i najlichszy kątek w raj mi się przemieni. Ciebie zaś uczucie godności własnej czyni najszczęśliwszym z ludzi.

Oczy Reb Mordki zwilżyły się ze wzruszenia, scałował żonie uwieszoną na szyi jego, łzy zawisłe na jój obliczu z rumienionóm, przycisnął ją do piersi i rzekł: Ty dobra, wierna, luba żono!

Była to piękna scena, był to piękny Erew-Szabbes!



dim*) znaczniejsi wyróżniali się od innych strojem... nosili się po polsku. Wysoka czapka z drogiego futra w kształcie cylindra, długa szubica**) z czarnej materji jedwabnej, niekiedy na piersiach bogato srebrnymi haftami zdobna, — oto były zwyczajne cechy celującego talmudysty. Jeśli spotykali się dwaj znajomi, co bardzo często zdarzało się w ciasnych zaułkach żydowskich, życzyli sobie gut-jom-tow ***), podawali dłonie, ale nie przystawali dziś na ulicy dla pogawędki, jak to kiedyindziej czynić byli zwykli, bo każdy śpieszył się do domu, by zasiąść czempredźej do seder****).

Ulice coraz stawały się pustszemi, ale z okien jasne połyskiwało światło i dawały się słyszeć głosy pobożnych, śpiewających hymny pochwalne lub modlitwy. Ze wszystkich

*) Talmudyści, uczeni.

**) Rodzaj kaftana.

***) Dobrego święta.

****) Żeby odprawić obrządki religijne, przepisane na wieczór Paschy.

domów odznaczał się jeden szczególniej olśniewającym blaskiem, jaki rzucało na ulicę mnóstwo świec jarzących w jego wnętrzu. Był to dom Reb Mordki Cohen-Cemach. Nigdzie może nie obchodzono wieczoru tego tak budująco i uroczyście. Wielka izba mieszkalna poświętnie była oświetloną. Na środku pułapu wisiała lampa ośmioramienna. Na stole stały wielkie świeczniki srebrne, w których paliły się ogromne świece woskowe. — W całym mieszkaniu rozchodziła się jakaś miła woń. Towarzystwo zebrało się na około stołu czworograniastego. Pierwsze miejsce zajmował Reb Mordechaj na szesłagu, który za pomocą kilku poduszek zręcznie na tron przeobrażono. Po prawój jego stronie siedziała Bela wraz z trzema córkami, po lewój bocher *) domowy i trzój synowie gospodarstwa. Na szarym końcu, wprost naprzeciw Reb Mordki, siedli dwaj orchim **). Obie służące

*) Nauczyciel.

***) Goście (orchim). Zamożniejsi Izraelici, a nawet i tacy, którym tylko na chlebie powszednim nie zb y-

zaś i Meszores*), ażeby nie przeszkadzać państwu częstem swém powstawaniem, usadowili się przy małym stolicku, na uboczu.

Każdy miał przed sobą puhar srebrny z winem. Na środku stołu, przykrytego białym obrusem, stała wielka misa srebrna, w której leżały trzy wielkie szmuro-macos**), osłonięte białą chustą. Na tejże samej misie stał talerz srebrny zawierający w ozdobnym

wa, mają we zwyczaju w soboty i święta uroczyste ugaszcząć po domach swych ubogich współwyznawców. W tym razie gospodarstwo wszelkich dokładają starań, ażeby takiemu gościowi (po hebrajsku *orach*, licz. mn. *orchim*) nie zbywało na niczem, i ażeby tym sposobem nie dać mu uczuć, iż, pozbawiony własnego, przy obcym zasiada stole.

Chwalebny ten zwyczaj trwa dotąd w całej swęj sile i w kraju naszym, a kto wie, czy, wskutek długiego pobytu Izraela na gościnnęj Lechitów ziemi i w nim nie wziął początku. (Przyp. Tłom.)

*) Posługacz.

**) Chleby niekwaszone, na które szczególniejsza zwraca się uwaga. Już samo zboże starannie chronią od wszelkięj wilgoci.

porządku wszystkie jadła symboliczne, których się przy „seder“ używa.

Przybywszy do domu, Reb Mordechaj zrzucił zaraz odzież, w jakiej był w synagodze i wdział, stosownie do powszechnego zwyczaju, kittel i czapczkę*).

Uroczystość wieczoru rozpoczęła się. Najmłodszy ze synów pytał się Ma-nisztane **). Pytał o znaczenie paschy, ojciec odpowiedział mu i począł objaśniać szczytną tę uroczystość z „Hagady“ przed nim leżącej, ale niezadługo przestał czytać... Czerpiąc z głębin duszy swojej, wystawił żywo a dobitnie ów ucisk pełen męczarni, jaki znosić musieli dzieci Izraela w domu niewoli, w Mizraim.— Mówił o dumie bezczelnej Faraona, mówił o tém, jak Pan w miłosierdziu swém bez granic ulitował się nad uciemienionymi i zdeptanymi, jako posłał Mojżesza i jako ten spełnił posłannictwo swoje, jak Pan ugodnił

*) Suknie śmiertelne.

***) Temi słowy poczyna najmłodszy z domowników, pytając się o znaczenie wieczoru paschy.

lud niewolniczy do przyjęcia świętego Zakonu na płomieniejącym Synaju i jako Izrael stał się pośrednikiem między Bogiem swoim a światem całym. Słowa jego były wzniosłe, budujące, a jednak tak jasne, tak proste, że nawet dzieciom zrozumiały.

Gdy skończył rozdawano Macos a następnie moror*) umaczane w charoses**). Reb Mordechaj wytłumaczył dzieciom znaczenie tych ceremonij pamiątkowych i opowiadał młodszym w jaki sposób jagnię ofiarne w Jeruzolimie na Pesach zabijano i jak ono jedzonym być musiało. Potem dopiero przystąpiono do właściwej uczty. Niebawem wniesiono na stół potrawy parujące i ugaszczano się suto. Wieczera była zaprawioną żywą rozmową, w której przyjęli udział: Reb Mordechaj, dwaj jego synowie dorośli, bocher domowy i dwaj orchim, będący uczniami szkoły talmudycznej. Kobiety tymczasem ga-

*) Ziola gorzkie.

***) Mięszanina ciastowata kilku słodkich substancij (na podobieństwo gliny).

wędziły ze sobą, nie chcąc przeszkadzać mężczyznom, którzy byli zajęci wykładem kilku miejsc z talmudu, oraz wynajdowaniem i rozwiązywaniem przeciwieństw pozornych w tymże.

Po uczcie gospodarz odprawił modlitwę odmawianą przy stole.

Poczem wszyscy zaintonowali wielką pieśń pochwalną. Zaledwie ją ukończyli, mały Dawid zawołał:

— Tatko! stuka ktoś do drzwi naszych —

Wszyscy milczeli.

— Tak, tak, i ja słyszę, krzyknęła czteroletnia Gitta. O! to pewnie Elja hanowi*), z pewnością.

— Wyjrzyj tam z okna, Szlome, rzekł Reb Mordechaj.

Najstarszy syn**) wstał, zbliżył się do okna, roztworzył je i zapytał:

*) Prorok Eliasz.

**) Późniejszy wydawca dzieła w języku hebrajskim p. t. „Cemach-Dawid“.

— Kogo pan szukasz i czego żądasz?

— Czy tu mieszka pan Mordechaj Cohen-Cemach?

— Tak jest.

— Więc, proszę, kaź pan natychmiast odemknąć bramę i zaprowadź mię do niego, proszę pana jak najusilniej, ważną mu przynoszę wiadomość.

Ostatnie te wyrazy, tak cicho były wymówione, że tylko jeden u okna stojący mógł ich dosłyszeć. Całe towarzystwo zatrwożyło się. Co znaczą te niespodziane odwiedziny o tej godzinie?

— Efraim, weź klucz od bramy, rzekł Reb Mordechaj do meszoresa i roztwórz ją! Meszores uczynił jak mu rozkazano. Mordechaj tymczasem przystąpił także do okna. Popatrzał na ulicę. Nieznajomy owinięty był płaszczem i kapelusz miał głęboko na twarz naciśnięty. Mordechaj przeto nie mógł go poznać. Meszores wprowadził nieznajomego do pokoju. Ten ostatni przez to, że usiłował ciągle zakryć twarz swą, był odstręczającym w tej chwili.

Mordechaj uczynił kilka kroków na jego spotkanie i rzekł:

— Witamy!

— Dziękuję Bogu, że cię znalazłem i spotkałem. Użyjcie mi kilku chwil rozmowy. Potrzeba mi koniecznie pomówić z wami na osobności.

— Pozwól pan do alkierza, rzekł Reb Mordechaj, wziął ze stołu dwa lichtarze i oddalił się wraz z nieznajomym. Całe towarzystwo odchodziło od siebie z przestachu.

Nieznajomy nie był żydem, można to było poznać po nim. Gdy mówił, wszyscy zauważali konwulsyjne drganie jego głosu. Był li to gniew ukryty, wzruszenie czy ból? Kto by to zgadnął.

Bela nie rada była, że mąż jej zamknął się z nieznajomym, słyszała bowiem jak z wewnątrz drzwi na klucz zamknięto. Nie wiedziała co to był za jeden; — czyż nie łatwo żeby przyszedł w zamiarze zbrodniczym? — Wrychle wszakże uspokoiła ją myśl o nadzwyczajnej sile cielesnej małżonka.

Najgłębsza panowała cisza. Każden z obecnych starał się pochwycić choć słówko z te-

go, o czém mówiono w sąsiednim pokoju. — Ale to było niepodobieństwem.

Nieznajomy ujrawszy się z Reb Mordką sam na sam, zrzucił ze siebie kapelusz i płaszcz i padł w jego objęcia.

— Przedewszystkiem dzięki, gorące, serdeczne dzięki, szlachetny przyjacielu ludzkości!

Reb Mordechaj przypomniał sobie młodzieńca, którego powstrzymał niegdyś od samobójstwa, któremu ocalił honor, życie...

— Pieniądze, które przed kilku laty przesłałem panu, otrzymałeś zapewne.

A kiedy Reb Mordechaj potwierdzająco potrząsnął głową, przybyły mówił dalej:

— Sądziłeś mnie pan pewno niewdzięcznym, żem nie przybył sam dla podziękowania. Ale upewniam cię, jam nie mógł... Bolało mię to bardzo, przyczyniło cierpień, co nie miara... nie mogłem... Podczas obecności mój w Pradze, służba moja, obowiązek trzymał mnie w ciągłej bliskości wysoko-postawionej osoby. Wsprawach własnych ledwie wiernym sługą wyřęczyć się zdołałem...

Mam panu udzielić wiele ważnych rzeczy, a chcę to uczynić pokrótce. — Żeby zaś słowa moje nie wydały się panu jakąś baśnią piastunki, powiem naprzód jak nieskończoną wdzięczność ci winienem.

Kiedy w owym dniu fatalnym, który tak chmurno się rozpoczął dla mnie, a który, za łaską twoją, tak szczęśliwie miał się skończyć... wybiła godzina dziewiąta, weszła do mego biura komisja powołana do rewidowania stanu kassy. Składała się tą razą z większej liczby członków jak zazwyczaj. Dyrektor komisji był wysokim urzędnikiem, co nigdy dotąd podobnemi nie zajmował się sprawami. Przekonawszy się o należytych stanie kassy, dyrektor mnie uściskał. Zdziwiło mnie to tem bardziej, że dotychczas z wysoka tylko do mnie przemawiał i przesywający wzrok swój wciąż miał we mnie utkwiony.

— Ciesz się to, rzekł, ciesz się to, że oskarżenie to jest oszczerstwem.

To mówiąc dobył papieru jakiegoś i podał mi go do czytania.

Cmiło mi się w oczach. Zniejakim trudem przeczytałem zdawna mi znajome pismo... Było to pismo mego przyjaciela młodości — Alberta... Oskarżał mnie w niém o przeniewierzenie, o kradzież pieniędzy publicznych... Plan jego przewybornie był ukartowany — wyróciła go wielkoduszność, szlachetność twoja, Panie! Przełożony, który pomieszanie moje za sprawiedliwe wziął oburzenie, ciągnął dalej:

— Ciesz się, że nie sprawdziły się nikczemne te oszczerstwa, ponieważ mam także pełnomocnictwo objawienia panu wrazie należytego stanu kassy, iż na wyższą godność zostajesz posunięty. Wyrzekłszy te słowa, wręczył mi papier zapieczętowany, który zawierał nominacją moją na wyższy urząd. A komużem za to był winien wdzięczność, że miasto shańbiony, rzucony na pastwę szyderstwa i wzgardy — uczczony teraz, poważany i dalej posunięty zostałem? — Komuż, jeżeli nie tobie?

Dla objęcia nowego urzędowania, natychmiast do Wiednia jechać byłem zmuszony. — Musiałem opuścić Pragę, nie pożegnawszy

się z panem, nie powiedziawszy ci, że wdzięczność moja zgaśnie dopiero z ostatniem mém tchnieniem...

Przybywszy do Wiednia, wszystkie swe usiłowania skierowałem na to, by pracą, dobrą wolą i wytrwaniem wysokiego dobić się stanowiska. — Wszak wtedy tylko byłbym w stanie uiścić się z téj summy znacznej, którąś mi pan, obcemu, nieznanemu ofiarował tak wspanałomyślnie. Usiłowania moje, wsparte szczęśliwym zbiegiem okoliczności, najpomyślniejszy odniosły skutek. Rzadkiego trafu użyłem na odznaczenie się. To zbliżyło mnie do osoby miłościwego monarchy naszego. Byłem mu przedstawiony. Mój zapal młodzieńczy i całkowite oddanie się, zyskały mi jego przychyłność. Znał osobiście ojca i uznał, że zasługi jego dostatecznie wynagrodzonymi nie zostały. Z książęcą hojnością przeto, chciał to poprawić na synu. Obsypał mnie łaskami. Wdzięczność moja i miłość czci pełna dla wysokiego monarchy mojego nie mogła pod takim wpływem, jak tylko do najwyższego dojść stopnia. Nie trudno mi też było liczne dać tego dowody, a

długiemu szeregowi szczęśliwych wydarzeń, na których opowiedzenie czas teraz nie pozwala, winienem był wdzięczność, że król, terażniejszy cesarz niemiecki uczynił mnie swym sekretarzem przybocznym.

Urząd to nie tak świetny, jak raczej pełen działalności i wpływu. Od téj chwili nie wolno mi było ani na chwilkę oddalać się od osoby mojego monarchy. Musiałem nawet sypiać w gabinecie przytykającym do sypialni cesarza, by o każdój porze stawać na jego rozkazy. Lecz... zaufanie cesarskie położone we mnie, potysiąc kroć przeważa trudy i znoje urzędu mojego. I to właśnie stawia mnie w możności uprzedzić pana o niebezpieczeństwie, jakie zagraża całej ludności żydowskiej w Pradze i Czechach.

Przed kilką dniami wcześniej jak zazwyczaj, posłyszałem głos dzwonka w pracowni pana mojego. Pośpieszyłem natychmiast. Cesarz wielkim krokiem przechadzał się po pokoju. Trupia bladość szlachetnego oblicza jego zastraszyła mnie. Nie uważałem wcale żem wszedł.

— Najmiłościwszy panie, spytałem.

— A, to ty — dobrze.

— Usłyszałem głos dzwonka, najjaśniejszy panie.

— Dobrze — dobrze.

Przeszedł się jeszcze kilka razy po pokoju, potem stanął przedemną i rzekł:

— Zanim upłyną trzy miesiące, wszyscy żydzi Czechy i Pragę opuścić powinni.

— Najmiłościwszy panie! odrzekłem zdziwiony. Wszak to dziewięć lat dopiero, jak przywołano żydów napowrót do Czech,—dowiedziano, iż niewinnie byli oskarżeni. Przez co więc znowu ściągnęli na się niełaskę waszej cesarskiej mości? Czy nowe jakieś zanie-siono skargi?

— Nie, odpowiedział cesarz. Żałuję tych nieszczęśliwych, wolałbym, żeby ich oskarżono... Dziś podwójną sprawia mi boleść wy-pędzać z kraju ludzi niewinnych, w którym ojcowie ich od wieków żyli spokojnie i uczciwie.

— Ależ w takim razie, najmiłościwszy panie, odważyłem się na odpowiedź, jeżeli wasza cesarska mość masz litość nad żydami, jeżeli na nich żadna nie ciąży вина, to cze-

muż ci ludzie spokojni mieli by być strąceni w nędzę, w przepaść? Pocóż ich na nowo, tułaczy, wyganiać w świat? A gdy odpycha ich cesarz niemiecki, sprawiedliwy Ferdynand, *któż* ich przyjmie gościnnie?

Cesarz niecierpliwie ruszył ramionami.

— Na moje słowo książęce, żal mi. A jednak uczynić to muszę, zobowiązałem się, uroczyste zaprzysiągłem...

Zdumiałem... Ktoby śmiał nakładać zobowiązania cesarzowi niemieckiemu, ktoby mógł być tak czelnym, ażeby od niego zażądać przysięgi?

Cesarz spostrzegł moje zadziwienie. Znowu, wedle zwyczaju swego, chodził szybko po pokoju, potem stanął przedemną.

— Nocy wczorajszej, rzekł, wspomniałem znowu z boleścią o tém, czym nie ciężki grzech popełnił nie stawiając silniejszego oporu Husytom w Czechach. Wiadomo ci, jak surowo na początku mojego panowania obchodziłem się z Kalixtynami — alem dziś starszy, mój umysł łagodniejszy, zdawało mi się, że rychlej sprowadzę dobrobyt ludów moich, jeżeli każdemu pozostawię naukę jego,

jego wiarę, przekonanie jego. Ja chcę litować się nad zbłąkanymi, lecz więcej już prześladować ich nie myślę. Przecież sam Ojciec Sty pochwalił tolerancją przeciwko Kalixtynom.

Niekiedy jednak myśl, czy tak dobrze czynię, zakłóca spokojność moją. Zapewniam cię, nie jedną już noc przetrawiłem bezsennie z tego powodu. Tak samo też wczoraj w głębokiej zadumie leżałem pogrążony. W końcu ujął mię sen tak dawno upragniony, ale mnie nie orzeźwił... Przed moją duszą unosiły się obrazy czasów dawno minionych. Byłem znów małym chłopięciem—byłem w Madrycie, w galerji obrazów przy pałacu królewskim... Za mną stał nauczyciel mój młodości, starzec czcigodny. Czytałem na biblji.

W tém nagle znikły komnaty madryckiego pałacu, znajdowałem się przy oknach królewskiego zamku mojego w Pradze, byłem cesarzem niemieckim. Wyjrzałem na miasto. Zdawało mi się, jakoby ztamtąd wzbijały się ku mnie dźwięki nabożnej pieśni kalixtyńskiej...

Oglądałem się niezadowolony, obok mnie

stał znowuż sędziwy mój nauczyciel; ponuro patrzył na miasto... Zrozumiałem go...

— Nie mogę, powiedziałem, wszak Ojciec Sty jest zatem. — Tu przypadkiem padł mój wzrok na dzielnicę żydowską, położoną na przeciw zamku królewskiego. Więc *tych* wypędzę przynajmniej. Zanim wyjdą trzy miesiące żadnego nie ujrysz żyda w czeskiej mej krainie. Przysięgam!

Wyrzekłszy te słowa, we śnie już żałowałem tego. Czegożem chciał od uciśnionych? Taka mną miotła burza wewnętrzna, że się zbudził. Ku największemu jednak pożałowaniu mojemu, ślub spełnić mi wypada. — Wzniosłem prawicę ku niebu, zaprzysięgłem. Nie znajdę wprzód uspokojenia, póki edykt powtórnego wygnania żydów z Czech wydany i wykonany nie będzie.

Cesarz znowu wielkim krokiem zaczął się przechadzać. Możesz pan sobie wyobrazić przykre usposobienie, w jakie wprawiło mię to niespodziewane objawienie woli monarszej. Idąc za pierwszym serca przyzywem, miałem zamiar przemówić słów kilka za żydami — cesarz przerwał mi.

— Nic — zapewniałem cię na słowo cesarskie że żałuję; wiem wszystko, co chcesz mówić, ale nie masz rady na to, co się już stało. We snach często się prawda kryje. Czyliż nie objawił pan przyszłości we śnie Faraonowi egipskiemu? Czyliż Faraon nie przez to od głodu zbawił swój lud, że na sen ten zwrócił uwagę? Miałżebym ja, cesarz niemiecki, być gorszym od Faraona, a ziemia ma pośledniejszą w oczach Opatrzności, aniżeli Egipt? Zaprzysiągłem raz wygnanie żydów, wiernie dochoвам przysięgi!

— Znałem za dobrze charakter cesarza, ażeby nie wiedzieć, że każde słowo teraz byłoby stracone. — Cesarz jest szlachetny, wspaniałomyślny — ale starannie unika wszystkiego, coby mogło najmniejszy rzucić cień na jego postępowanie religijne. — Ślub, który uczynił w stanie bezwiednym, we śnie, ma dlań moc obowiązującą. Smutnie powróciłem do swój pracy i myślałem bezustannie, jakby tu pomódz. Przez długi czas okropna próżnia jakaś panowała w moim mózgu, nie wiedziałem co począć. — W końcu oświecił mnie promień bożej łaski. Znalazłem sposób

jedyny. Trzeba mi było koniecznie rozmówić się z panem. Przemyślałem tylko, jakby tu zabrać się do otrzymania urlopu monarchy. Było mi to tem trudniej, że poprzednie wstawienie się moje, mimo zaufania, jakie we mnie pokładał cesarz, łatwo by wzbudzić mogło słuszne podejrzenie, jakoby miało oznajmić żydom grożące im nieszczęście i podać środek zaradczy przeciwko niemu. — Sam rozgłos planu cesarskiego miałby i dla mnie i dla współwyznawców pańskich zgubne bardzo skutki. W sprawach publicznych bowiem byłem zobowiązany zachowywać jak najuroczystsze milczenie, w obec ministrów i radców stanu nawet. Zwątpilem już, czy uda mi się wynaleść wymówkę jakąś stosowną dla wyjednania sobie urlopu, gdy szczęśliwy *przypadek*, nie, nie przypadek, boskie zrządzenie i tą razą mi w pomoc przyszło. — List z dóbr moich w Węgrzech, przyniósł mi wiadomość, że droga żona moja szczęśliwie porodziła syna i że ma się dobrze. Od razu więc miałem sposób widzieć się z panem, mówić i radzić.

Powróciwszy do swój pracowni, nie wiem z jakiego powodu, cesarz był bardzo wesoły.

— Najjaśniejszy panie! rzekłem, mam prosić o łaskę...

Cesarz spojrział na mnie poważnie.

— Powiedz, czego chcesz, aby nie o żydach. Czy słyszysz? Postanowienie moje silne i niezmiennie.

— O, nie, najmiłociwszy panie, nie to, — odrzekłem obojętny na pozór. List, który w tój chwili z pod Preszburga odbieram, zawiadamia mię, że małżonka moja wydała na świat syna. Ponieważ zaś święta wielkanocne zbliżają się właśnie, a ja w święta uroczyste godziny po południowe tylko służbie mojego monarchy poświęcać mam zaszczyt, więc prosiłbym o najwyższe pozwolenie.

— A, a, rozumiem, śpieszy ci się do żony, rzekł cesarz uśmiechając się. Jedź sobie z Bogiem. W tym tygodniu mogę się obyć bez ciebie. Dziś jeszcze możesz pojechać, ażeby wrócić za ośm dni.

Podziękowałem za miłociwe pozwolenie i pospieszyłem do swego mieszkania.

Wyznałem Helenie już dawniej występki, jaki popełniłem... Opowiedziałem wspaniałość pańską. Możesz pan sobie wystawić z jaką wdzięcznością czciła zbawcę małżonka swego, szczęścia swojego. Napisałem do niej w niewielu słowach, że obowiązek wdzięczności powoduje mnie przepędzić czas urlopu zdala od niej, że to tycze się mego anioła-stróża, Mordki Cohen w Pradze. Prosiłem ją, żeby w tym czasie nie adresowała żadnego listu do mnie, celem niezwrócenia uwagi na dworze na nieobecność moją w domu.

„Możesz się domyśleć, pisałem, ważności mego przedsięwzięcia po tém, że mi ono na wieść tę radośną, do was pośpieszyć nie daje, ciebie ucałować, pierworodnemu pobłogosławić.“

Wieczorem tegoż samego dnia dojeżdżał powóz mój podróżny do granicy węgierskiej, ale na dwie mile od miasta zeskoczyłem... Siadłem na koń, który na mnie czekał osiodłany w krzakach i popędziłem do Pragi tak prędko, jak tylko mogłem. Przed godziną stanąłem tu, a teraz jestem u pana, ażeby mu

odkryć środek *jedyny*, który, być może, wybawi was od grożącego niebezpieczeństwa.

Sekretarz cesarski przestał... zmęczony — siadł na krzesło.

Reb Mordechaj korzystał z tego przestanku.

— Przebacz panie, rzekł, żem nie w stanie wysłowić ci w tej chwili podziękii mojej za obejście się twoje z nami, szczerogo współczucia, którém przepelnia mnie szczęście twoje. Ja teraz i najgorętszym uczuciom słów użyczyć nie zdołałbym. Sam zbyt wdzięcznym jesteś, byś miał, choć na chwilę, źle tłomaczyć sobie milczenie moje. Przepraszam, że opuszczę pana na chwilkę. Wejdę tylko dla uspokojenia rodziny, która przestraszona niespodzianém twém przybyciem, w największej trwodze czeka zapewne końca tajemniczój rozmowy naszój.

— Na Boga! zawołał sekretarz, zaklinam pana na wszystko, co ci jest świętem, wymyśl pozór jakiś — ale nie zdradź mię. Patrz, umyślnie odziałem się w płaszcz, ażeby nie być poznanym przez żonę twoją, która już raz mnie widziała. Im mniej wiedzą o tém, tém lepiej wam i sprawie waszój. Cesarz nie

odkrył tajemnicy swojej nikomu, prócz mnie, trzeba ją więc dobrze zachować.

— Zdaj się pan zupełnie na mnie, rzekł Reb Mordechaj. Za chwilę znów będę przy tobie...

Reb Mordechaj odszedł do drugiego pokoju. Dwoje dzieci najmłodszych już spało, orchim poszli do domu, bocher domowy do swego mieszkania, meszores i sługi do izby dla czeladzi.

Reb Mordechaj wszedłszy do pokoju, pierwszy odezwał się, nie czekając pytania zasmuconej rodziny:

— Przychodzę dla uspokojenia was. Nieznajomy ważne mi przyniósł wiadomości. — Jak się spodziewam, poznajecie po moim spokoju, że wszelka obawa z waszej strony byłaby zbyteczną. Zresztą cieszy mnie to, że malcy już śpią, bo potrzeba koniecznie, ażeby o tém wydarzeniu jak najgłębsze panowało milczenie. Ciekawość waszą przezwyciężyć musicie — ja wam nic a nic powiedzieć nie mogę... Udajcie się spokojnie na spoczynek. Gość mój przez niejaki czas po-

bawi jeszcze. Bądźcie dobrej myśli, dziś przecie *lel-szymurim* *).

Mordechaj znowu powrócił do alkierza. — Dwaj mężowie jeszcze przez dwie godziny przeszło ze sobą rozmawiali; potem sekretarz się oddalił. Mordechaj odprowadził go aż do wrót dzielnicy. Skoro otwarto wrota, obaj uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie.

— Dziękuję, rzekł Reb Mordechaj. Więcej ze wzruszenia mówić nie mógł.

— Przy bramie wyszehradzkiej będzie koń osiodłany. Nie zapominaj pan o niczem. Bóg z tobą, bywaj zdrów! — szeptał sekretarz pocichu wychodząc za wrota. Bywaj zdrów.

Zamknięto bramę. Sekretarz udał się do hotelu.

Mordechaj wznosił ku niebu rozpalone swe oblicze. Była jasna noc księżycowa. Gwiazdy promieniały tak mile na błękitnie...

O! spojrzysz z nieba i obacz, myśmy narodom wszem na szyd i urągowisko. Panie,

*) Noc opieki.

myśmy nie przepomnieli imienia twojego, nie przepomnięj, panie, nas!

— Mordechaj tak głęboką owładnięty był boleścią w chwili gdy nieliczne te słowa bezwiednie prawie z jego wydobyły się piersi, że zatopiony w dumaniach pozostał na miejscu. Spoglądał w to wielkie, lazuruwe morze powietrzne, kędy krążą światów myrjady — któż je stworzył? — Pan, Bóg jedyny, do którego się modlił — On jest wszechmocnym, On pomódz może...

Spoglądał w to wielkie, lazuruwe morze powietrzne, kędy krążą światów myrjady, widział tę przestrzeń nieskończoną, którą obejmuje słabe nasze oko cielesne i zamyka w ciasnym przestworze nerwu ocznego — ale przed którym cofa się boleśnie oko ducha naszego, oko duszy nieśmiertelnej, nie mogąc znieść ogromu tego olbrzymiego, nie mogąc pochwycić prawdziwego obrazu wszechświata — a w tej przestrzeni bez granic nie opada liść, nie szumi drzewo, a w całej tej przestrzeni nie odetchnie żaden z tych tworów niezliczonych, ażeby Pan świata nie wiedział o tém — On jest wszechwiedzącym... On zna

boleść wzgardzonych, okropne męczarnie zdeptanych.

Spoglądał w to wielkie, lazururowe morze powietrzne, kędy krążą światów myrjady, a na każdym z nich stworzenia — a wszystkie te stworzeń myrjady myrjadów żyją i cieszą się życiem przez łaskę — przez miłość, przez wszechlitościwość bożą... Bóg jest wszechmiłościwym. Bóg chce pomódz...

— Panie świata! zawołał Mordechaj, gdy te uwagi pociechy pełne przeciągnęły przed duszą jego. „Tyś wszechlitościwy, wszechwiedzący, wszechmocny. — Więc dlaczegóż nam rozpaczać? Czyliż Ty chceć możesz, żeby Twe dzieci w niedolę strącano? — Myślą nas wykląć, wypędzić!.. A dla czego? — Jakiem prawem? — Powiadają, żeśmy obcy w tym kraju, obcy w pięknych Czechach? — Czyliż nie stworzył Bóg świata wszystkiego, czyliż i my nie dzieci jego? Myśmy obcy?! A przecie kości ojców naszych spoczywają w téj ziemi... Myśmy obcy?! A przecie myśmy długie wieki już przeboleli i cierpieli w tym kraju... Myśmy obcy?! Wszak my tak dawno jak i wszyscy inni mieszkańcy na tych żyjem

6*

łanach... Myśmy obcy?! Więc gdzież nasza ojczyzna? Czyliż mogą być ludzie *bez ojczyzny*?! — Nie, o nie!

A jednak nie ma żyd nic — nic na tym dalekim świecie, coby swoją mógł nazwać własnością... I tej piędzi ziemi nawet, na której strudzoną kładzie głowę — nawet grobu swojego synowi w dziedzictwo przekazać nie wstanie — bo wie-li on, czy nie odepchną łzami zalanej sieroty od grobu jego, tak samo jak i jego samego od grobu ojców?

Mordechaj długo pozostałby jeszcze na ulicy z temi myślami — lecz nagle lekki wiaterek wiosenny lubo wstrząsnął powietrzem. Wonny oddech wiatru owiewający rozpalone oblicze Mordechaja, zbudził go z marzeń. — Zdawało mu się, że to powitanie ranne przesłane synom od Wszechojca, który powiada: „Pokój, pokój z oddalonym jak z bliskim — wszem dzieciom moim — pokój.“

Mordechaj czuł się jakoś dziwnie wzmożonym i podniesionym. Zwrócił się do mieszkania rabina. Zapukał lekko do okna.

— Kto tam? spytał Bez-din-szames^{*)} Reb Loeb.

— Ja, Mordechaj Cohen, proszę was, zbudźcie zaraz rabbi'ego, bo mam mu ważne uczynić szajle^{**}).

— Rebbe czuwa i uczy się^{***}). Ale... wszak zwykle sam waszmość, Reb Mordechaj, wątpliwości rozstrzygałeś, rzekł Reb Loeb, niechętnie jakoś drzwi otwierając. Cóż się tedy wam przyśniło od razu, wśród nocy szajle zadawać?

— Jesteście przecie ben-thora^{****}), odparł Reb Mordechaj, któremu by to wielce było nieprzyjemnie, gdyby gadatliwy Reb Loeb do tych nocnych odwiedzin jego większą jaką przywiązywał wagę. Wszak wiecie, pesach — skrupulatność najwyższa — wolę się samego rań poradzić... Kochany Reb Loeb,

^{*)} Sługa kolegjum rabinicznego.

^{**}) Zapytanie (w kw. stjach religijnych).

^{***}) Studjuje.

^{****}) Biegły w zakonie.

przepraszam, żem was fatygował. W chol-hamoed*), okażę wam wdzięczność moją. Jeszcze jedno, nie chciałbym, ażeby się kto dowiedział, iżem wśród nocy był u rebbego, dla tego, proszę... język za zębami. Chętnie wam co sobota będę przysyłał ryby, mięso, oliwę, i wino, tak długo, jak sprawa ta pozostanie w tajemnicy. Skoro się zaś dowiem, żeście się wygadali z czemśkolwiek — to, rozumie się samo przez się, wolny jestem od wszelkich nadal zobowiązań.

Reb Mordechaj, zawarowawszy sobie w ten sposób milczenie szamesa, wszedł do rabina. Ten ostatni przesiedział całą noc dzisiejszą, by raz jeszcze przewertować traktat „Pсахim“. Nie mało się zadziwił, gdy ujrzał u siebie o tak niezwykłej porze Reb Mordkę.

Reb Mordechaj wyjawił mu tajemnicę, o której się dowiedział niedawno, oraz postanowienie swe następnego zaraz dnia, skoro świt wyjechać do Wiednia, by tam w sposób przez cesarskiego sekretarza wskazany, sta-

*) Wolne święta.

rać się uchylić zło żydom zagrażające. Raf pochwalił jego zamiary.

Reb Mordechaj udał się do domu dla przygotowania się do podróży i pożegnania rodziny swojej.

Pierwszego dnia pesach przededniem jeszcze Reb Mordechaj wyszedł za bramę wyszehradzką. Ubrany był po podróżnemu i uzbrojony. W trzosie skórzanym, który miał na sobie, zawierała się cała jego gotówka — w torbie podróżnej — kilka macos i flaszka wody.

Za bramą stał koń osiodłany na pogotowiu. Reb Mordechaj wskoczył nań, wspiął go ostrogami i z szybkością błyskawicy poleciał wzdłuż ulicy wiedeńskiej...

Po nabożeństwie poranném Raf kazał zwołać wszystkich starszych w gminie i dajonim na posiedzenie tajne. Odebrawszy uprzednio od wszystkich obecnych zapewnienie jak najgłębszego milczenia, Raf w te począł słowa:

„*Achai we reai**)! Dziś w pośród nocy

*) Po hebrajsku. Znaczy: Bracia i przyjaciele moi!

przyjacielowi naszemu Reb Mordechajowi Cohen, *haszem jarich jomów**), z pewnego źródła niespodzianej udzielono wiadomości, jakoby cesarz nasz niezłomne uczynił postanowienie wypędzić wszystkich żydów z Pragi i Czech. Postanowienie to cesarza dotąd jest tajemnicą, sami radcy stanu nawet nie wiedzą o tém. Ponieważ pod przysięgą dyskrecji jak największej powierzono Reb Mordce powód tych prześladowań niezasłużonych, musiał przyznać, że i prośby najpokorniejsze nawet żydów do cesarza pozostałyby bez skutku. Potrzeba więc tu było uciec się koniecznie do środka nadzwyczajnego, niezwykłego, który przyjacielowi naszemu za *jedyny* podano, a który, da Bóg, sprawi zmianę w umyśle cesarza. Ale tu nieodzownym był pośpiech jak największy. Nie należało traścić i chwili. — Reb Mordechaj przybył do mnie, by mię uwiadomić o burzy zbierającej się nad naszemi głowami i powiedzieć mi,

*) Po hebrajsku. Znaczy: Panie, przedłuż dni jego.

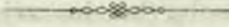
że przedsięwziął dziś, skoro świt siaść na koń i pośpieszyć do Wiednia. Pochwaliłem jego przedsięwzięcie, gdyż nieprzewidziana wielkość niebezpieczeństwa uniewinnia złamanie jednorazowe święta. Przedłożył mi téż plan, który mu poradzono, i ten, względnie do okoliczności, także uznałem za dobry. Teraz Reb Mordechaj jest już na drodze do Wiednia. Bez wątpienia jest Reb Mordechaj Cohen dla swych zdolności umysłowych, swéj nauki, a szczególnie dla tego, że jak się zdaje, łaskawą na niego jest wysoko postawiona osoba (bo inaczej, jakby mógł słyszeć pierwszy o tajemnicy tak ważnej) najwłaściwszym zastępcą gminy naszéj i przeto wolno się nam cieszyć nadzieją, iż za pomocą Bożą uda mu się odwrócić od nas grożące nam niebezpieczeństwo. W każdym zaś razie z poddaniem się i spokojem czekajmy końca — i zawrzyjmy smutek nasz w głębinach duszy naszéj, ażeby na szkodę i zagubę naszą wieść ta złowroga nie rozeszła się za wczesnie w gminie i pomiędzy ludem.

Reb Mordechaj także prosił mię usilnie, bym wyjednał mu przebaczenie wasze, *achai*

we reai, że bez pożegnania z wami udał się w podróż. Czas nagił, każda chwila była drogą...

Obyście ubłagali błogosławieństwo niebios jego przedsięwzięciu, oby usłuchane były modły wasze!“

Raf pożegnał zaszępione zgromadzenie.



...w tym czasie...
 ...zobacz...
 ...w tym czasie...
 ...zobacz...
 ...w tym czasie...
 ...zobacz...

V.

Było to już w drugiej połowie sefiro *). Po
 dzielnicy żydowskiej w Pradze poczyniała się
 rozszerzać głucha wieść o strasliwem prze-
 znaczeniu, które nadrabin naczelnikom gmi-
 ny w pierwszym dniu paschy był objawił. —
 Szczupłe grono tych, którzy słyszeli o tém
 z ust samego rabina zachowało wprawdzie
 jaknajgłębsze milczenie... ale wielu żydom
 przybyłym do domów urzędników z towara-
 mi na sprzedaż powiadano, żeby tanięj odda-
 wali, gdyż i tak wkrótce z kraju zostaną wy-
 pędzeni.

*) Przeciąg czasu siedmioletniowy od Wielkiej-
 nocy do Zielonych świątek.

Z początku biedni żydzi nie zwracali uwagi na te mowy i mieli je za żart, który znośić musieli. Niezadługo wszakże słowa te powtarzano już bardzo często i z naciskiem.

To uderzyło. Zatrwożeni prosili, ażeby ich nie straszono tak okropnemi żartami... Można sobie wyobrazić zdziwienie tych nieszczęśliwych, gdy dano im do zrozumienia, że to nie żarty, że przybyły wiadomości z Wiednia, które brzmią, iż w skutek niezłomnego postanowienia cesarskiego wszyscy żydzi Czechy opuścić powinni.

Pośpieszono do *parnesa* *), do *rafu* i przekonano się, że już oni o téj nowości dawno byli uwiadomieni. Wkrótce we wszystkich synagogach, bothé-midraszym **), na rynku, na ulicach nie mówiono o niczem inném jak o grożącym nieszczęściu.

Zauważano wprawdzie w gminie nieobecność Reb Mordki Cohen, ale nie wiedziano jeszcze dotychczas, że podróż jego dobro

*) Pierwszy naczelnik gminy.

**) Uczelniach.

ogółu miała na celu. Teraz jednak, kiedy raf i przedstawiciele gminy wszystkich zapewni-
 wiali, że o wypadku tym od dawna mieli
 wiadomość, że dla odwrócenia go wszelkich
 użyją sił — gdy nareszcie gadatliwy *bez-din*
szames Reb Loeb dłużej się już wstrzymać
 nie mógł i opowiadał wszędzie o odwiedzi-
 nach Reb Mordki u rabina w pierwszą noc
 paschy — powszechnie stało się wiadomem,
 że Reb Mordechaj Cohen, pojechał do Wie-
 dnia jako sztaflen*). To w pierwszej chwili
 podziało uspokajająco na umysły. Lecz za-
 niedługo i ta nadzieja ćmić się poczęła. Nie
 było listu od Reb Mordki. Rodzina jego, ja-
 ko też raf i gmina nie mieli od niego żadnej
 wiadomości. W końcu dowiedziano się, że
 Reb Mordechaj wyjechał z Wiednia. Dokąd
 zaś się udał, czy mówił z cesarzem, czy była
 jaka nadzieja, — to wszystko pozostało ta-
 jemnicą.

W wielkiem zgromadzeniu do którego by-
 li powołani najstarsi i najrozważniejsi w gmi-

*) Rzecznik.

nie, zaprojektowano wysłanie deputacji do Wiednia dla zanieśienia prośb sprawiedliwych do podnóżka tronu. Większość zgodziła się na to, ale raf się sprzeciwił.

— Jeśli możebnym jest ratunek, rzekł, jeśli ktokolwiek w stanie nakłonić majestat cesarski do porzucenia raz powziętego zamiaru — to nim jest zapewne Reb Mordechaj Cohen. Któż z nas, bracia, mógłby wątpić o tem? Wspomnijcie żarliwą jego wymowę, wspomnijcie zdumiewającą głębokość i bystrość jego umysłu, wspomnijcie te ofiary bezprzykładne do których wspaniałomyślność jego jest zdolną — a przyznacie wraz ze mną, że byłoby bezpożytecznie a nawet szkodliwie wysłać teraz nowych przedstawicieli do dworu. Twierdzenie moje tem jest słuszniejsze, o ile Reb Mordechaj zapewniał mnie jak najuroczyściej, iż wszelkie przekładania i prośby już zostały udaremnione. Reb Mordechaj poznał tę szczególniejszą przyczynę, co spowodowała monarchę naszego, który dotąd łaskawym dla nas był panem i księżciem — do uczynienia nieszczęsnego tego postanowienia. Jest tylko jeden środek oca-

lenia, *jedyny*... tego doświadczy Reb Mordechaj. Jeśli mu się nie uda — wszystko stracone bez nadziei i nie pozostaje nam nic innego jak tylko z poddaniem się przyjąć ten cios z ręki Wszechmocnego i błagać go o siłę a moc do zniesienia nieszczęścia tego.

Nadrabin pragski nie od dzisiaj silny wywierał wpływ na swą gminę. Zebrani prócz tego wiedzieli dobrze, że raf głębszy posiadał pogląd aniżeli oni. Zaufali więc jego mądrości i bogatemu doświadczeniu, zgodzili się z jego wolą i w niemój trwodze czekali rozwiązania.

Stan ten był męczarnią. Ażeby go pojąć w całej jego rozciągłości, uważamy za konieczne wyświetlić go nieco bliżej.

Pojęcie wygnania w naszych czasach, w skutek wielkiej liczby wychodźców niemieckich, którzy, jak się to mówi zazwyczaj, dobrowolnie idą na wygnanie — wiele z pierwotnej swojej utraciło okropności.

Jak różnym był żyd wygnany w wiekach średnich od wychodźcy terażniejszego! Ten opuszcza ojczyznę swą *dobrowolnie*, spieniężywszy wprzód dobra swe nieruchome, rząd

opiekuje się nim, on ma nadzieję polepszenia bytu swojego, znajduje nową ojczyznę, tam przyjmują go gościnnie — a jeśli się zubożył i stał szczęśliwym w dalekiej obczyźnie i chce wrócić — jeśli w kraju pragnie zakończyć swój żywot, chce spocząć w przodków mogile, — okręt przenosi go napowrót, przyjaźnie go tu witają na nowo — on znów jest synem ojczyzny — dwoistą ma ojczyznę...

Żyd... z zakrwawioną piersią *musiał* się oderwać od miejsc, które przez długie wieki zwał swoją ojczyzną. — Żyd był odepchnięty, ubogi, nędzarz — bo i najbogatszy musiał zubożeć przez wygnanie; domy jego stały się nic wartymi, bo i któżby nabył posiadłości, która i bez tego w krótkim czasie zostanie bez pana? Nagromadzone towarów zapasy, które przy wywędrowaniu i szukaniu schronienia wywieźć ze sobą nie było podobna, nie miały dla właścicieli żadnej wartości, gdyż wielka liczba kupców żydowskich nie mogła sprzedać towarów swoich od razu; długi należne im w kraju zostawały nie uiszczane...

Żyd wygnany w wiekach średnich był bez-

bronny — bo rząd krajowy wypowiadał mu swą opiekę...

Żyd wygnany w wiekach średnich musiał się lękać, że jego rodzice posiwiali, jego żona, dzieci słabe, legną nieprzyzwyczajeni pod trudami podróży, bo wiedział-że on jak długa droga, znali cel swojej wędrówki?...

Żyd wygnany w wiekach średnich musiał się wyrwać z objęć płaczącej kochanki, jeśli drogi ich w przeciwne szły strony, nie wiedząc czy ją kiedy w tym życiu ujrzy znowu.

Żyd wygnany w wiekach średnich mógł umrzeć w dalekiej, obcej krainie z tęsknoty za grobami swych ukochanych — mógł umrzeć, ale wrócić — nigdy...

Wkrótce wszakże Żydzi mieli być wybawieni z tej dręczącej niepewności, by przejść w zupełną pewność swojego nieszczęścia. — W kilka dni po świętach szebuoth edykt cesarski otrzymano w Pradze, a namiestnictwo królewskie jeszcze tego samego dnia w dzielnicy żydowskiej do publicznej podało go wiadomości. Brzmiał tak: „Żydzi Pragę najdalej za dni *ośm*, kraj zaś za cztery tygodnie opu-

ścić mają“. — Powód wywołania nie był nadmieniony.

Łatwo wyobrazić sobie płacze i lamenty gminy żydowskiej w Pradze. Dotychczas jeszcze cieszą się nadziejami przeróżnymi, nie spodziewano się, żeby rozkaz cesarski miał nadejść tak nagle. Sądzą, że w najgorszym razie, cesarz znany ze wspaniałomyślności, zezwoli żydom na dłuższy termin dla wyjednania sobie przytułku w krajach sąsiednich. Sądzą, że, jak poprzednio, podany będzie w edyktcie powód tego niezasłużonego wygnania, a wtedy byłby jeszcze cień możliwości, gruntownym odparciem zarzutów sprawić odwołanie edyktu. Lecz i ta ostatnia nadzieja spełzła.

Nieszczęśliwi ochłonawszy z pierwszego wrażenia, rozwinięli działalność jak najżywszą. Każdy pośpieszył się z wystawieniem na sprzedaż dóbr swych nieruchomych, ze spieniężeniem towarów i kosztowności i z upomnieniem się o długi sobie należne. Ale i tu najsmutniejszego doznali losu. Domów ich nikt nie chciał kupować, towary z największymi stratami nawet w tak krótkim

czasie na gotówkę zamienione być nie mogły, a dłużnicy przyrzekali za kilka tygodni przesłać pieniądze wygnańcom w drogę.

Do tego wszystkiego przyłączyły się jeszcze i inne udręczenia. Namiestnictwo królewskie rozkazało żydom jaknajsurowiej opuścić miasto w przeddzień wywołania. Środek ten miał na celu przeszkodzić wydaleniowi się kogokolwiek bez uiszczenia zalegających podatków. — Z uderzeniem dwunastej godziny ósmego dnia, miało się rozpocząć wygnanie. Czas pomiędzy ogłoszeniem edyktu i jego wykonaniem był czasem cierpień straszliwych. Nikt nie był w stanie stałego powziąć zamiaru, nikt nie wiedział dokąd ma skierować kroki swoje. Raf i parnes, zwołali posiedzenie, na którym miało być uradzonem, co czynić z dobrami ruchomemi gminy, *syfretora* *) i *klé-kodesz* **), ale żadną miarą o przyszłości porozumieć się nie było można. Powagi rabina już nie szanowano jak da-

*) Rodały.

**) Naczynia święte.

wniej. — Niektórzy objawili bez ogródki, że niesłusznie postąpiono, usłuchawszy rabina na ślepo, i że byłoby lepiej, gdyby wysłano deputacją do dworu; rzecz w każdym razie nie mogłaby wypaść gorzej. Ponieważ rafa nie wiedział co odpowiedzieć na to, opuścił zgromadzenie. Za nim niebawem wyszedł parnes i tak powoli rozeszli się wszyscy członkowie.

W przedwieczór dnia ósmego zgodzono się w końcu, żeby syfre-thory i kassa gminy przez rabina, parnes i gabbe*) staro-nowej szkoły do Fürth były odwiezione i żydom tamiecznym oddane na przechowanie dopóty, póki większość członków gminy pragskiej spokojnego przytułku sobie nie wynajdzie.

Dnia ósmego z brzaskiem jutrzeńki odprawiono po wszystkich synagogach nabożeństwo poranne. W staro-nowej szkole rabin przyjął urząd śpiewaka. Skoro pierwszy promień słońca przeniknął przez ciasne okna synagogi, zaczęto modlitwy. Dom boży prze-

*) Przełożony.

pełniony był wiernymi; wielu z pobożnych padło na kolana i wzniosło ręce ku niebu... Głęboka, wzruszająca boleść rozstania się na zawsze z tym przybytkiem świętym, owładnęła lud cały i na krótko w jego sercu zajęła miejsce troski o przyszłość. Modlitwy obfitują w przecudne, porywające ustępy, zaraz też posłyszałeś głośnie płacze i jęki modlących się. Nabożeństwo zostało ukończone. Rabin stanął przed *aron-ha-kodesz**) dla pożegnania tych miejsc świętych, na które wstępował tak często, by nauczać i napominać swe owieczki — dla pożegnania kochanej swój gminy i wzmocnienia jej słowy Zakonu świętego na ciemną, niepewną przyszłość, która ją czekała. Tak zaczął:

„Achai we reai! — Dalsze słowa zamarły mu na drgających ustach. Był opanowany jakimś wzruszeniem niepojętym. Napróżno rabin usiłował się opamiętać; w tej chwili jedno słowo wymówić było mu niepodobieństwem. Nastąpiła długa cisza. Rabin całował

*) Arka przymierza.

poroches*), otworzył świętą arkę przymierza i wyjął z niej sefer-thora. Mimowolnie prawie uczynił to samo parnes, potem gabbe, potem lomdim znakomitsi, aż w arce żadnej sefer-thora nie pozostało. — Rabin odmówił jeszcze kilka modlitw po cichu, następnie płacząc, wszyscy wyszli z synagogi. Przedostatnim z wychodzących był raf, ostatnim parnes gminy. Ten wyszedłszy z synagogi zamknął ją i oddał klucze rabinowi. Obaj, parnes i raf, chcieli coś mówić, można to było poznać po konwulsyjnym drganiu ich ust, ale obaj milczeli... Pewnie kapłan ostatni na Syonie nie wychodził ze świątyni większą przejęty boleścią... Raf, jak gdyby ztąd wcale oderwać się nie mógł, ucałował raz jeszcze mezyzos domu bożego, potem cały orszak udał się do mieszkania rabina, by tam przechować syfre-thoros aż do chwili ostatniej...

Potem raf poszedł na cmentarz. Zebrali się tu wszyscy żydzi Pragi, jednem świętém

*) Firanka przed arką.

wiedzeni uczuciem — chcąc pożegnać i nieboszczyków, chcąc pożegnać groby ojców swych...

Zaden wybuch boleści nie zakłócał ciszy uroczystej. Nie widziano nic prócz klęczących, twarzy trupio bladych i mogił łzami zroszonych...

I Bela także, małżonka Reb Mordki, klęczała na grobie swojego ojca, gorące łzy spływały po jej obliczu. — Ból podwójny miotał jej sercem... Gdzież był Mordechaj, jej małżonek, gdzież opoka jej żywota?

Powoli cmentarz coraz stawał się pustszym. Każdy miał jeszcze coś załatwić, przygotować się do długiej podróży.

Około godziny jedynastej z południa otworzono jedną bramę dzielnicy żydowskiej, której wszyscy wyjść byli powinni. Na placu przed dzielnicą ustawione były dwa pułki strzelców i kilka chorągiewek jazdy. Zgromadził się wielki tłum ludu dla przypatrywania się temu rzadkiemu widowisku. Jeden z dowódców wojsk, miał sobie poleconem wywołanie.

Każda rodzina przy wyjściu musiała udo-

wodnić, jako upłaciła wszystkie podatki królewskie i oświadczyć zarazem przez jaką bramę wydali się z miasta.

Ruch w dzielnicy żydowskiej przedstawiał widok okropny. Przed niektórymi domami stały wózki uprężone w chude szkapiny. — Były one przeznaczone dla starców i chorych, którzy pieszo podróżować nie byli w stanie. Przed każdym domem były gromadki. Mężczyźni z kijami pielgrzymimi w rękę, a na plecach tłumoczek, co zamykał cały ich dobytek — kobiety z niemowlętami u piersi...

O w pół do dwunastej trębacz na koniu przebiegał ulice, oznajmiając, że jeszcze tylko pół godziny czasu, żeby zatem każdy w drogę był gotów.

Więc krewni i przyjaciele raz jeszcze pod gołem zegnali się niebem. Jeszcze raz gorący uścisk dłoni, jeszcze braterski pocałunek, a potem — rozstanie...

Rabin i cały bez-din stanął u wrót, ażeby wychodzącym dodać otuchy i udzielić błogosławieństwa.

Nakoniec rozległ się głos dowódcy. Pała-

szy dobyto z pochw. Piechota ustawiła się w szyku.

Na staro-miejskiej wieży ratuszowej zaczęła bić dwunasta. Raf wlał odwagę i rezygnację w pierwszego, który miał opuścić dzielnicę... Nie słyszano oddechu, panowała cisza cmentarna...

Uderzyło jeden, dwa, trzy, cztery, pięć — aż dwanaście...

Za ostatniem uderzeniem zegaru, zatętniały kopyta. Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku kollegjum jezuickiego. Jeździec jakiś wczwał pędził ku dzielnicy żydowskiej. Koń zdyszany — okryty był pianą i krwią... Jeździec całym ciałem rozpostarł się na szlachetnym zwierzęciu... Jego twarz była blada, skrwawiona. W jednym ręku powiewał zwojem pargaminowym, wołając:

— Łaska — w imieniu cesarza!

Gwałtownym skokiem wstrzymał konia i oddał komendantowi pargamin.

Rumak wierzgał i stawał dęba, z jego nozdrzy szeroko rozwartych ciepły wydobywał

się oddech — w tém nagle legł bez życia...
Jeździec omdlały spadł z konia.

W teje samej chwili nadbiegł także oficer cesarski w towarzystwie trębacza jezdneho. Wznosząc chorągiew białą, wołał:

— Powtarzam: W Imieniu Jego Apostolskiej Mości! Łaska!

Dowódzca poznawszy pieczęć cesarską odkrył głowę i przeczytał odwołanie edyktu.— Wszystko to było dziełem jednéj chwili.

Jednocześnie dawały się słyszeć głośnie wołania: Mordechaj — Ojcze!

I z pośród tłumu wypadła Bela z dziećmi do małżonka, do ojca...

Tysiące widzów zgromadzonych przed dzielnicą żywy przyjęły udział w wypadkach przedpołudnia dzisiejszego, — niespodziane szczęśliwe rozwiązanie obudziło powszechne współczucie i gromem z pośród tłumu wystrzelił okrzyk:

„Niech żyje cesarz, niech żyje Ferdynand pierwszy!

Lecz co się działo w sercu zbawionych... tego opisać niepodobna, to odczuciem być nie może, to koniecznie *współczuć* potrzeba.

Wszystko cisnęło się do omdlałego Reb Mordki. Nieco dalej stojący całowali skraj jego szaty. W pochodzie tryumfalnym zanie-siono go do domu. Tu odezwał się raf: „Moi przyjaciele! Pozostawmy teraz Reb Mordkę opiece i dozorowi jego rodziny, my zaś przede-wszystkiēm pójdźmy do synagogi dla podziękowania Panu nad Pany za to ocalenie niespodziewane.“

— Tak, do synagogi, do synagogi! wołali wszyscy. I lud cały z wdzięcznēm sercem szedł za rabinem do domu Bożego.

Tymczasem Reb Mordechaj ciągle jeszcze nieprzytomny, z przymkniętymi oczyma leżał na pościeli, otoczony przez żonę i dzieci. Rodzina z największēm utęsknieniem wyglądała chwili jego ocknienia...

Nakoniec otworzył oczy, ale niestety! lewe oko było zranione, bez światła...

— Dla Boga! Twoje oko, wołała Bela.

— Uspokójcie się, moi kochani! — nie płacz, Belo! — miarkuj się, Szlome! — Be-calel! — Widzicie wszak, lube dzieci! że ja mam się dobrze, że jestem zdrów i szczęśliwy — o! szczęśliwszy niż kiedy! Jam przy

was znowu, Wszechmożny poszczęścić raczył
 mojemu poselstwu — nasi współwyznawcy
 oddychają swobodnie — oni nie wypchnięci
 są z kraju rodzinnego, nie oddani na łup nę-
 dzy, hańby i wzgardy — a wy płaczecie jesz-
 cze? — Weselić się, weselić nam przystoi, na
 klęczkach Stwórcy dziękować za cudowne
 ocalenie, — ale nie płakać, że spodobało się
 Panu pozbawić mnie oka.

Dzieci wzruszone padły na kolana i obsy-
 pywały ręce ojca pocałunkami. — Bela zaś
 w głębi serca swojego Bogu składała dzięk-
 czynienia za to, że dzieciom jój takiego dał
 ojca — ludowi jój — zbawcę takiego...

VI.

W sobotę po nabożeństwie poranném raf, parnes, gabbe staro-nowej szkoły i dwaj posłowie żydowscy z prowincji czeskiej udali się do Reb Mordki, ażeby podziękować mu w imieniu gminy pragskiej, jakoteż i wszystkich żydów Czech.

Reb Mordechaj, przywitawszy ich i skromnie odpowiedziawszy na podziękowanie, rzekł:

— Nie wątpię, *morai we rabosai!**) żeście ciekawi dowiedzieć się jakim sposobem Pan, obrona Izraela, kroki memi pokierował tak, iż udało mi się, za łaską Jego i miłosierdziem bez granic, odwrócić los straszliwy, co miał spaść na nas...

*) Po hebrajsku. Znaczy tyle co: swiatli panowie.

Opowiem to wam dla tego, by wdzięczne przypomnienie zbawienia naszego żyło wiecznie w pamięci potomków naszych... Opowiem to wam — ale, czcigodni panowie, musicie mi przyrzec, że wypadki, o których się dowiecie — za życia mojego i sekretarza cesarskiego — jako świętą, niezłomną, zachowacie tajemnicę. Dopiero po śmierci naszej wolni będziecie od przyrzeczenia.

Przybyli dali słowo żądane.

— Pozwólcie mi jeszcze, mówił dalej Reb Mordechaj, przywołać tu żonę i dwóch starszych synów, Szlome i Becalel, ażeby także słuchali o łasce, którą ugodnił mnie Pan.

Kiedy już pięciu mężów, jego małżonka i synowie usadowili się w koło, Reb Mordechaj tak zaczął:

— W pierwszą noc Paschy sekretarz cesarski, któremu przed kilką laty przysługę wyświadczyć miałem sposobność — zawiadomił mnie, że cesarz we śnie uczynił ślub, ażeby w przeciągu trzech miesięcy wypędzić wszystkich żydów z Czech. Cesarz sam opowiedział sekretarzowi dziwny sen ten, i wynurzył, że uważa ślub za obowiązujący i go-

tów przystąpić do jego spełnienia. Wdzięczny młodzieniec użył pozoru dla oddalenia się na tydzień od osoby Monarchy i doniesienia mi (podczas gdy cesarz sądził, że jest w Węgrzech) o grożącym niebezpieczeństwie. Wśród takich okoliczności, jak to łatwo pojmiecie, daremne by były wszelkie prośby i zachody. „Monarcha, mówił do mnie sekretarz, w żadnym razie nie da się namówić do złamania przysięgi, chyba, jeżeli najwyższy książę kościoła, papież uwolni go od jego przyrzeczeń, rozwiąże śluby.“ Chodziło więc głównie oto, ażeby nakłonić cesarza do szukania rozwiązania u papieża. To zaś było możliwem w *jedyny* tylko sposób, o którym sekretarz bliższych mi udzielił szczegółów. Poradziwszy się ciebie, Rabbi, w tym względzie i otrzymawszy zgodę i potwierdzenie twoje, wyjechałem pierwszego dnia Paschy z rana do Wiednia. Czwartego dnia rano, jakkolwiek nie bez unużenia, przybyłem do stolicy. Potrzeba mi było tego samego poranku jeszcze mówić z monarchą zanim wyszedł urlop sekretarza tajnego, który w tymże dniu powinien był wrócić do Wiednia. To było nie-

zbitą koniecznością, by nie obudzić w cesarzu sprawiedliwego podejrzenia, że zdradził go sekretarz, który jedynie znał jego zamysły.

Kiedym stanął w Wiedniu była godzina ósma... W Pradze już dowiedziałem się, że monarcha codziennie, wracając z kaplicy dworskiej, odbiera prośby i krótkich udziela posłuchań. Złożywszy więc broń i suknie podróżne pośpieszyłem na plac zamkowy, wszedłem w podwórzec. Przy schodach zastąpił mi drogę szyldwach, a oficer, który podówczas był na służbie, oświadczył, iż się tu dziś nie wpuszcza nikogo, ponieważ cesarz słuchamszy w kościele Franciszkanów. Wiadomość ta wprawiła mnie w głębokie zaszepienie. Zapytałem oficera, czy niepodobna, abym dziś jeszcze otrzymał posłuchanie u cesarza.

— Wątpię, odparł, wzruszając ramionami, bo już od trzech dni nikt do audjencji u jego cesarskiej mości nie był przypuszczonym.

W tem zaturkotało... Tuż obok schodów przesunęła się ze szybkością błyskawicy poszóstna karetą cesarską. Roztworzono drzwi, najjaśniejszy cesarz i pan nasz wysiadł z po-

wozu. Znajdowałem się tedy w bezpośredniej bliskości mojego monarchy. Należało mi korzystać z tego szczęśliwego trafu. Z uszanowaniem odkryłem głowę i przykląknę na jedno kolano. Cesarz widział, że chcę mówić.

— Czego żądasz? spytał mnie przystanąwszy.

— Gdybyś, najjaśniejszy panie, raczył mi zezwolić na krótką audjencją, przez tę łaskę najwyższą wielu wiernych twych poddanych byłoby wybawionymi może z wcale niezasłużonego nieszczęścia.

— Kto jesteś i z kąd przybywasz?

— Jestem W. C. M. poddany najpokorniejszy, Mordechaj Cohen z Pragi.

Trzy doby upływa jak opuściłem miasto me rodzinne, jechałem dzień i noc bez odpoczynienia, by złożyć prośby moje u stóp tronu najmiłociwszego cesarza mojego.

„Dziwnie, powiedział cesarz sam do siebie, potem dodał głośno:

— Hrabio Eggenberg! zaprowadź tego żyda do sali audjencjonalnej.

Cesarz z jednym szambelanem wstępował na schody, podczas gdy drugi wprowadził

mnie do małej posłuchalni cesarskiej. Przez niejaki czas byłem sam. Można sobie łatwo wyobrazić w jakim naówczas znajdowałem się położeniu. Nigdy jeszcze, póki życia, nie miałem posłuchania u osoby tak wysoko postawionej, w rzeczy takiej wagi. Mimo pewnego spokoju ducha, który nieopuszcza mnie nigdy, byłem w tej chwili zmieszany, przestraszony. Od jednego słówka cesarza było zawisło przeznaczenie braci mych po wierze. Co chwila mógł wejść i w jednem okamgnieniu rozstrzygnąć los wielu tysięcy. Jakkolwiek wprzódy gorąco pragnąłem otrzymać posłuchanie u cesarza, jakkolwiek szczęśliwym się czułem w tej chwili, gdy sam monarchę o łaskę tę prosić mogłem — teraz — teraz oddałbym wszystko, by zyskać jeszcze nieco czasu dla zebrania się, uszykowania myśli. Lecz zapóźno... Nie pozostało mi nic, jak tylko ubłagać sobie błogosławieństwo i pomoc Wszechmocnego. Padłem na kolana.

„Panie świata! rzekłem, daj, ażeby duch Twój był z usty mojemu, ażeby słowa moje, znalazły przystęp do serca monarchy, i żebym ja zbawił Twe dzieci, Twój lud Izraela!“

Cesarz bez żadnego szelestu otworzył drzwi ukryte w ścianie i wszedł.

Gdy powstał stał za mną. Słyszał zapewne ostatnie słowa cichój mej modlitwy.

— Łaski, łaski dla niewinnych żydów! zawołałem... Nie wypędzaj ich, najjaśniejszy panie, z czeskiej krainy!

Rysy monarchy oblała purpura.

— Jako? rzekł mająż ściany uszy, że podsłuchują, a języki, że wygadują? — Jakim sposobem to moje postanowienie doszło do wiedzy żydów czeskich?

— Przebaczenia, Panie! — Dwóch nas tylko wie o tém, rabin pragski i ja.

— Jakżeście się tego dowiedzieli? spytał znowu cesarz surowo.

— Przez jedno i toż samo widzenie nocne. Tu zbladł cesarz.

— Teraz opowiedz mi sen swój, rzekł po chwili przerażenia.

Zarumieniłem się z powodu kłamstwa, na które się odważyłem w obliczu książęcia mojego — ale przypomniałem sobie słowa sekretarza, że to środek *jedyny* — chodziło tu o dobrobyt biednego, pogardzonego ludu, a

głos wewnętrzny, co nie myli nigdy, czyste me sumienie mówiło mi, że tak czynię słusznie, że kłamstwo to w dzień sądu u podnóżka tronu Najwyższego usprawiedliwić będzie w stanie.

— Cztery dni temu, zacząłem, noc była, w której obchodziliśmy uroczystość Pesach, uroczystość na pamiątkę cudownego wyjścia przodków naszych z Micraim, z domu niewoli. Leżąc, śniłem na jawie o pięknej przeszłości, o pięknej przyszłości...

„Me oko duchowe zdawało się spoglądać w daleki, daleki czas, gdyż przed pijaną duszą moją unosiły się obrazy cudne, wzniosłe... Narody wsze zjednoczyły się by w jednej pieśni wielbić światów Pana, i Izrael także był pomiędzy niemi, ale nie miał już więzów — już go nie uciskano i nie deptano więcej — nie, bracia i siostry, wszyscy scąłowywali mu łyzy krwawe z wybladłych liców i na poranione członki jego zlewali balsam pociechy — a Izrael śmiał się — znowu się radował, jak bywało niegdyś zanim go Pan odepchnął w swym gniewie... A gdym się napawał tak temi obrazami fantastycznymi,

zwarły się oczy moje. Ale i we śnie marzyłem. Przed mojem łóżem, zdawało mi się, że widzę wysokiego, barczystego męża; jeszcze go nie widział nigdy, a jednak był mi znany. — Piękny starzec, którego broda srebrzysta sięgała po za pas i którego oczy ocienione były gęstymi brwiami siwymi — w pięści żyłastój trzymał kij pielgrzymi, na ramionach jego zwieszony był płaszcz.

— Znam cię, rzekłem, tyś jest prorok Eljasz Tiszbita.

— Jestem nim, odrzekł starzec, jam przybył by cię uczynić jasnowidzącym. I dotknął się laską swą oczu moich — i stałem się jasnowidzącym.

„Widziałem piękną daleką krainę na zachodzie Europy, gdzie niebo zawsze czyste, drzewa zawsze zielone, cytryna zawsze złociста, powietrze zawsze pełne kwiecia woni...

— To Hiszpanja, ma ziemia rodzinna, zawołał cesarz, który z największą uwagą słuchał mych słów i tylko kiedy niekiedy przerywał mi wykrzykiem zdziwienia.

„Widziałem miasto, położone na kilku pagórkach nieznanym, pełne pięknych budo-

wli, kościołów o wieżycach wysokich, ogrodów z roślinnością przepyszną, a na ulicach ludzi, których twarze złocisto są przypieczon-
ne od słońca południa!

— To Madryt!

„A w mieście widziałem stary, prześliczny zamek z wieżycami i sklepieniami —

— To zamek królewski!

„A jedno okno było otwarte, promień słońca padł w salę bogatą, na której ścianach rozwieszane były portrety książąt, królów —

— To galerja obrazów!

„A na środku salonu stało miłe, anielskie chłopię, na jego czole jaśniała niewinność, — odgartywał loki ciemne ze swój przyjemnej twarzy... Czytał na biblji. Zanim stał starzec.

— To byłem ja i nauczyciel mojej młodości — zawołał cesarz wzruszony.

„Ale nagle to znikło widzenie, nastąpiło inne. — Wyglądnałem z okna mojego domu, który położony jest naprzeciwko zamku królewskiego w Pradze i ujrzałem męża podobnego miłemu chłopięciu — ale włos jego był posiwiały. Na głowie miał koronę cesarza niemieckiego, za nim stał znowuż ów sta-

rzec, którego widział w poprzedzającym obrazie.

„Zdawało mi się, że ze starego miasta sły-
szę dźwięki konające pieśni nabożnej, zdało
mi się, że one dolatują także do zamku kró-
lewskiego, gdyż ów mąż w koronie cesar-
skiej przysłuchiwał się mimowoli, potem od-
wrócił się do starca, co stał za nim i wyrzekł
te słowa znaczące:

„Ja tego nie mogę!“ — Lecz nagle padł
wzrok jego na dzielnicę żydowską, która
przeciwległą jest zamkowi królewskiemu. —
Pomimo woli wzniosł prawicę i rzekł: „Więc
tych wypędzę przynajmniej. — Zanim ubieży
trzy miesiące, niechaj nie ujrzę żadnego ży-
da w Czechach, przysięgam.“ — Gdym po-
słyszał te słowa głęboka boleść i rozpacz
przepelniła serce moje. — „Panie! błagałem
czemu się żarzy gniew twój nad ludem twym,
któryś wywiódł z kraju Micraim wielką siłą
a mocą prawicy swojej?!) I rzekł prorok
Eljasz: Spójrz w górę!“ Spojrzałem i zoba-

*) Exod. Cap. XXXII v. 2.

czyłem wielkie miasto, a w tém mieście, w wielkim pałacu siedział jakiś człowiek na tronie, a przed nim klęczało trzech mężów, przywdzianych w szaty czerwone, różowe, fioletowe — i rzekli: „Chcesz-li być ojcem naszym?“ a on odpowiedział: „Chcę.“ Wówczas spytałem: Wielki proroku, któż to jest? a Eljasz odpowiedział: To papież nowo-obrany, on was ocali, on rozwiąże śluby cesarza.

„Po tych słowach pociechy zbudziłem się. — A potem, co uczyniłeś zapytał monarcha.

„Wyskoczyłem z pościeli, ubrałem się i poszedłem do rabina. Zastałem go czuwającego — to samo miał we śnie widzenie. Siadłem natychmiast na koń i pojechałem do Wiednia, by u stóp miłościwego monarchy mojego wybłagać ułaskawienie dla niewinnych braci moich.“

„Przestałem. Tyle razy w duszy wystawiałem sobie ów dziwny sen cesarza, któryby dla nas tak straszne mógł mieć skutki, — że oko me duchowe widziało go niby widmo wcielone. Nie ominałem nic, nawet okoliczności najdrobniejszej, o której mi powiedział

sekretarz, by to widzenie oddać w zupełności. Popełniłem kłamstwo, ale niewinnie, ale w czystości ducha — mówiło mi o tem spokojne bicie mojego serca...

„Słowa moje wywarły jak najsilniejsze wrażenie na cesarzu...

W największém wzburzeniu chodził po pokoju, od czasu do czasu rzucał na mnie bawdawcze spojrzenie. Nakoniec rzucił się w fotel, oddał się zadumie głębokiej i w zdaniach urywanych mówił sam do siebie:

„Nie, nie! sny, to są hasła najwyższego, — może, jednak to stać się powinno — — ślub — — kościół go może rozwiązać — ależ kogo posłać? Nie, tak nie można — — — tak — — — tak — — —“

„Po chwili zdawało się, że nagle jakieś uczynił postanowienie, porwał się z fotelu i przeszedłszy się, wedle zwyczaju swojego, kilka razy po komnacie, stanął przedemną.

— Ty musisz być wielkim człowiekiem, rzekł. Tyś niczem więcej, jak poddany cesarstwa niemieckiego, jesteś żydem, a jednak uznał cię Pan godnym objawienia tajnego zamiaru cesarza twojego. Sen twój nie zawiódł

cię, tak jest — ślubowałem wywołać żydów z Czech, tylko Ojciec Święty w Rzymie ślubu me rozwiązać jest w stanie. — Idź do Rzymu, uproś u papieża rozwiązanie ślubu; a jeżeli wrócisz do Wiednia na nadchodzące świętazielone, jeżeli książę kościoła uwolni mnie od słowa danego — niechaj współwyznawcy twoi, jak wprzód, znajdą opiekę i ojczyznę w dzierżawach mych.“

„Dzięki, najmiłościwszy cesarzu i panie! rzekłem, dzięków za nadzieje, jaką budzi we mnie najwyższe słowo cesarskie wysłowićem nie zdolny — ale codzien na klęczkach chcę błagać zastępów Pana o błogosławieństwo dla monarchy mojego i prześwietnego domu cesarskiego.“

„Łaska najwyższa W. C. M. dodałem po jakim przestanku, ośmiela mnie jeszcze do jednej prośby, której usłuchania spodziewam się tembardziej, że —

„Jeszcze prośba? przerwał cesarz. Trudno cię zadowolić! Słuchamy...“

„Najjaśniejszy panie! Jakżeż mam stanąć przed papieżem? Jakżeż ja, najniższy z poddanych cesarstwa niemieckiego — ja, żyd —

mam stanąć przed tym, co książęciem jest kościoła, i żądać, ażeby on rozwiązał ślub *cesarza rzymskiego*? — Czyliż słowom mym da wiarę, czyż mię nie będzie miał za szalonego? — Gdybyś zaś W. C. M. w najwyższej miłości swojej raczył kilka słowy uwierzytelnić to poselstwo moje, gdyby wola Wasza najwyższa — że rozwiązanie ślubu byłoby pożądanem wspaniałomyślności cesarskiej — w nich była wyrażona, — łaska pana mojego byłaby zupełną, a dobrej sprawie pomyślny skutek byłby zapewniony!“

„Słowa te drżącym wyrzekłem głosem. Nie było wątpliwości, że tylko wtedy mogłyby się poszczęścić zabiegi moje, gdyby cesarz i téj drugiej mojej nie odmówił prośbie. Naturalny mój rozum powiadał mi, że to było żądanie nadzwyczajne, śmiałe, nie umiałem życzeniu temu stosownej nadać formy i drżałem, by słówkiem jakim zbytęcznym nieuchybić czci należnej monarsze. Nie śmiałem podnieść oczu.

„Masz słuszność, rzekł cesarz, i téj prośby twojej wypełnić nie omieszkam. Kilka wier-

szy niechaj uwierzytelnią cię u Ojca Świętego. —

„Jednakże, powtarzam raz jeszcze, do Zielonych świątek musisz powrócić do Wiednia wraz z rozwiązaniem ślubu... Skoro przybędziesz później — za późno...“

— Kiedy myślisz wyjechać?

— Jak tylko otrzymam pisanie najwyższe.

— Dobrze. — O dwunastej wrócisz do zamku? Cesarz zadzwonił. Wszedł szambelan.

— Hrabio! gdy przyjdzie ten żyd, zaprowadzisz go do mojej pracowni.

Szambelan uklonił się, a cesarz szybko się oddalił temi drzwiami, któremi był wszedł. Szambelan odprowadził mię aż do schodów i rozkazał oficerowi straży trzymającemu, ażeby wpuścił mnie bez trudności.

„Domyślicie się, że w oznaczonym czasie byłem w dworcu cesarskim. Szambelan natychmiast zaprowadził mnie do pracowni cesarza. Gdym wszedł, cesarz siedział przy biurku swoim i był zwrócony ku mnie plecyma. Przy stole, dokumentami pokrytym siedział ktoś drugi i pisał. Poznałem w nim zaraz sekretarza. Obawiałem się, żeby przez zarumie-

nienie nie zdradzić mojej z nim znajomości, gdy on tymczasem dla ukrycia zakłopotania swojego, pisał daleko pilniej.

— Najmiłościwszy panie rzekł szambelan, który mnie wprowadził, chcąc zwrócić na mnie uwagę monarchy.

— Ah — to ty — dobrze, zawołał cesarz, a ja skłoniłem się nisko.

— Czy skończony list? spytał, zwracając się do stołu.

— Tak jest, najmiłościwszy panie! brakuje tylko cyfry najwyższej.

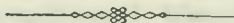
Sekretarz podał mu pismo. Cesarz podpisując zawołał: Więc ty przybyłeś o dziesiątej No? co słyhać w Węgrzech nowego?

— Najmiłościwszy panie! w tej chwili przyszły wiadomości z Pesztu. Jeszczem ich nie otworzył — zdaje się, że ważne.

— Zobaczemy zaraz.

Po zapieczętowaniu listu cesarz oddał mi go sam. Owinąłem list w białą, jedwabną chusteczkę, którą przyniosłem ze sobą w tym celu. Chciałem mówić, ale głos odmówił mi posłuszeństwa.

— Mam nadzieję, że do zielonych świątek zobaczę cię z powrotem. Czy słyszysz!? Nie później! wyrzekł cesarz głosem silnym, pełnym powagi. Pożegnał mię lekkim skinieniem głowy. Odchodząc, rzuciłem raz jeszcze ukradkiem sekretarzowi wzrok wdzięczności do zgonu... Z widocznym trudem stłumił łzę co mu w oku stanęła...



„We dwie godziny potem byłem w drodze do Włoch. Najróżnorodniejsze myśli cisnęły mi się do głowy. Czasami zdawało mi się, że to sen. Ja, *żyd*, którego los bardzo był jeszcze wątpliwym, który za krótką chwilę mógłem zostać wygnany, bez ojczyzny — ja, udaję się teraz w podróż do Rzymu, by błagać u księcia kościoła rozwiązanie ślubu, który uczynił we śnie *cesarz rzymski*.

„Potrzeba było w rzeczy samej jak największego spokoju umysłu, by pojąć to dziwne położenie, w które popadłem przez zbieg najniezwykajniejszych okoliczności. Lecz po-

tem... tysiące ofiar dziękczynnych wznosiło się na ołtarzu serca mego ku Najwyższemu za to, że mi dał łaskę znaleźć w oczach monarchy, że otworzył serce jego słowom moim...

Zamilczę o przykrościach i trudach podróży mojej, tyle tylko powiedzieć wam sędzę koniecznym, że później przybyłem aniżelim się spodziewał. Powinienem był na zielone świątki być z powrotem w Wiedniu! To były ostatnie wyrazy cesarza. Teraz, gdy już sprawa ta szczęśliwie została ukończoną, przekonywam się, że i w tej mierze żądanie cesarskie daleko było sprawiedliwsze aniżelim sądził z początku. Gdyby rozwiązanie ślubów do skutku przyjść nie mogło wszyscy żydzi we trzy miesiące Czechy opuścić by byli powinni; cesarz więc w tym smutnym razie chciał przynajmniej dać żydom termin cztero-tygodniowy.

Na niejaki czas przed mojem przybyciem do Rzymu wstąpił na tron Pius IV*).

*) Pius IV Medicis z Medjolanu, był obrany roku 1559 i zawiadował kościołem lat 5, 11 mies. i 15 dni.

Papież był obarczony licznymi sprawami kościoła i państwa. Nie zadziwi was zatem, że niepodobieństwem było dla mnie uzyskać posłuchanie. Współwyznawcy nasi w Rzymie nawet i radą użyteczną wesprzeć mnie nie mogli, a wszelkie starania moje u urzędników Watykanu były bezowocne, ponieważ nie śmiałem zwierzyć nikomu prawdziwego celu méj audjencji.

Tak tedy bawiłem już od kilku dni w Rzymie, nie rozmówiwszy się z papieżem, ani też zobaczywszy go. Nie pozostawało mi nic więcej, jak tylko oczekiwać jedną z tych uroczystości, w których papież w świętym pochodzie ukazuje się weselącemu się ludowi, dla oddania pisania jego apostolskiej mości. Znajdowałem się w najokropniejszym położeniu. Ziemia gorzała mi pod nogami. Byłem w obcym kraju — miałem sobie powierzone poselstwo największe, a każdej godziny, uszłej bez pożytku musiałem się lękać, by nie stracić tak drogiego, a skąpo wymierzonego mi czasu.

Czwartego dnia pobytu mego w Rzymie, niepokieszony błądziłem po ulicach. Przypad-

kiem zaszedłem przed kościół Laterański, gdzie się wielki tłum ludzi był zgromadził. Czekano papieża, który miał odwiedzić dziś kościół. Zatrzymałem się wśród mnóstwa ciekawych i postanowiłem oddać tu papieżowi list cesarza. Z największem wysileniem spoglądałem wzdłuż ulicy. Nakoniec zabrzmiała prześliczna, cudna muzyka i długi, wspaniałe pochód poruszał się przez ulicę ku placowi laterańskiemu. Naprzód szła wielka liczba księży z pochodniami w ręku, potem.. w niejakim oddaleniu, widziałem, lektykę papieżką, opatrzoną wielkimi wachlarzami z piór pawich, które wciąglým zostawały ruchu. Bogata lektyka niesioną była przez dwunastu młodych kleryków. Wcale sobie wyobrazić nie można całej majestatyczności téj sceny.

Na widok papieża serce me zabiło tak silnie, jak gdyby pęknąć miało. Teraz była chwila dla mnie stanowcza. — Cały lud upadł na kolana — ja tylko jeden zostałem stojący. Należało mi nie tracić téj chwili przyjaznej i za zbliżeniem papieża przecisnąć się przez te tłumy niezliczone klęczących i wręczyć mu

pisanie, które w ręku trzymałem konwulsyjnie. Stanąłem na środku ulicy, ale przez napływające fale ludu znowu wtył zostałem posunięty tak, że znalazłem się w pośrodku tych mass bez liku. Z początku nie spostrzegłem, iż postawa moja stojąca powszechną zwróciła uwagę. — Zaraz wszakże rozległo się w kolo mnie głośnie wołanie: klęknąć! a gdym nie usłuchał go wiele głosów zawołało: Precz z beżbożnikiem! To niewierny! Luter! Żyd! Nie chce ugiąć kolana! — Kilku zapaleńców gotowało się już, jak uważałem, wypaść na mnie... papież przeszedł mimo. — Słyszał zapewne krzyki tłuszczy roznamiętnionój, gdyż podczas udzielania błogosławieństwa, pozostał przez niejakiś czas zwrócony do miejsca, gdzie stałem...

W tej chwili przebiełem się z siłą olbrzymią przez lud do lektyki papieżkiej. Gwardja otaczająca ją chciała mnie odepchnąć wprawdzie, ale ja zawołałem głośno w języku łacińskim „, Książę Chrześcijaństwa! Racz wybaczyć, że śmiem na ulicy oddać Ci list miłościwego monarchy mojego. Kamerlingo, który jechał

konno tuż obok lektyki, poznawszy zaledwie pieczęć cesarską na liście, wyjął mi go prędko z ręki i doręczył papieżowi, szepnąwszy mu przytem kilka słów. Papież, zdawało mi się, odpowiedział.

„Po nabożeństwie w Watykanie! rzekł kamerlingo tak cicho, że tylko ja sam mogłem dosłyszeć tych wyrazów. To wszystko działo się wczasie jaknajkrótszym. Pochód zatrzymał się na chwilę i ruszył natychmiast dalej. Wybiegłem z natłoku dla opamiętania się.

„Po nabożeństwie w Watykanie!“ — Teraz miał się rozstrzygnąć los mych braci. Nie mogę odmalować stanu méj duszy w tych dwóch godzinach, które poprzedziły posłuchanie moje u papieża. Przestrach, zwątpienie i nadzieja owładały mną na przemiany i jestem prawie przekonany, że dłużej nie zniosłbym téj zabijającej niepewności, że ległbym pod temi mękami...

Poszedłem do Watykanu. Ku największemu zdziwieniu mojemu, szambelan papieżki oczekiwał mnie w dziedzińcu pałacowym i zaprowadził przez mnóstwo przejść i sal do ko-

mnaty posłuchalnej papieża. Komnata ta krótką bogato ozdobną przedzielona była na dwie połowy. W jednej, w fotelu, w rodzaju trybuny, siedział najwyższy Dostojnik kościoła. Skinieniem pożegnał szambelana. — Papież przyjął mnie łaskawie. List cesarski leżał przed nim, zdawał się być zadowolonym z tego, pomiędzy poprzednikiem jego*) bowiem a cesarzem Ferdynandem ciągle panowało rozdwojenie. Zażądał odemnie ażebym mu powtórzył w jaki sposób dowiedziałem się o śnie cesarza. Uczynił to po łacinie, ponieważ w tym języku odezwałem się doń na ulicy.

„Świątobliwości! zacząłem po chwili, podczas której usiłowałem się zebrać. Przycho-
dząc do Ciebie błagać łaski dla wielu tysięcy bezbromych, których jedno słowo Twoje zbawić lub na zatracenie oddać może. Pan wyniósł cię na pierwszy tron świata całego, — bo chrześcijaństwa oko w Ciebie wlepione... Pan

*) Paweł IV Caraffa z Neapolu, obrany r. 1555 nie chciał uznać tak obdykacyji Karola V jak i obioru Ferdynanda, brata jego.

uczynił ci przychylnemi wszystkie serca i umysły wszystkie... Staję u stóp wspaniałego tronu Twojego w zupełnem zaufaniu, serce me i rozsądek mój powiadają mi głośno, że Ty, wysoki książę kościoła, uświęcisz objęcie kapłaństwa swojego dziełem sprawiedliwości i miłosierdzia, miłości i łaski, dziełem, co się Bogu podoba, który dobrotliwym ojcem jest dla wszystkich.

I, żebyś się przekonał, książę wspaniały, o prawdzie słów moich, żebyś się przekonał, że z zupełnem zaufaniem przybliżyłem się do podnóżka tronu twojego — objawię ci tajemnicę, którą odważam się zwierzyć tylko temu ze śmiertelnych, którego dla kierowania wsze mi ludy na ziemi powołał Pan i któremu użył mądrości i rozwagi, by spełnił posłannictwo swoje...

Papież tym wstępem zdziwiony, wstał z siedzenia swojego, oparł się o poręcz krzesła i z największą uwagą przysłuchiwał się słowom moim. Opowiedziałem mu *prawdziwy* stan rzeczy. Opowiedziałem, jak powziąłem wiadomość o zamiarze cesarskiego Pana naszego. Wystawiłem mu całe nieszczęście wy-

gnania, jeśli wygnańcy są żydami.. wystawiłem je płomienistemi kolory...

Łzy spływały mi bez ustanku po licach — ale nie tamowały mowy. Wtój chwili, nie wątpię o tem, duch Pana był zemną i z usty mojemi. Odrzuciłem lęk wszelki i obawę, mówiłem, jakom jeszcze nie mówił nigdy, — jak nigdy mówić nie będę. Słowa me wytryskały z najgłębszych głębin serca mego...

Udało mi się krwawe łzy boleścią miotanej duszy w żywe, porywające oblec słowo.. Nie żądajcie, bracia moi, powtórzenia słów tych, ja tego uczynić nie zdołam! chwila podobna podniesienia i natchnienia nie wraca nigdy.. Przestałem... Spojrzenie moje padło na oblicze wysokiego książećcia kościoła! i — o rozkoszy niewysłowiona, najszcześniejsza chwila życia mego! — w oku papieża błyszczała łza!..

Wciągu opowiadania przyznałem się bez ogródek, że dopuściłem się kłamstwa w obliczu Monarchy mego. Okoliczności wszakże powinny mnie były usprawiedliwić, a w każdym razie, współwyznawcy moi żadnej w tem uchybieniu nie mieli winy. Szczerosc ta, to

zaufanie bez granic zyskały mi, jakem się spodziewał, przychylność księcia kościoła. Po chwili rzekł do mnie: „Uwolnię kochanego syna mojego, cesarza niemieckiego, od jego ślubu. Jutro odbierzesz pismo absolucją zawierające, z rąk mojego kamerlinga.„ To mówiąc papież zadzwonił na dzwonek srebrnym i oddalił się niezwłocznie przez drzwi boczne gabinetu. — Ukazał się zaraz szambelan i zaprowadził mnie przez kurytarz do schodów.

Kiedym na drugi dzień przyszedł do pałacu, nie miałem już szczęścia zobaczyć papieża. Kamerlingo wręczył mi pargamin zapieczętowany.

Nie zwlekając dłużej, natychmiast udałem się w podróż. Musiałem się spieszyć o ile mogłem, gdyż większa połowa wyznaczonego mi przez cesarza terminu, już dawno minęła. Pomimo to wszystko, byłbym może jednak na zielone święta stanął w Wiedniu; ale w Mantui — w skutek zapewne bezustannych wysileń duchowych — febra gorączkowa rzuciła mnie o łożo. Już zrozpaczony, walczy-

łem ze śmiercią — lecz Pan ocalił mnie... wyzdrowiałem, ale termin upłynął, dziewięć dni po zielonych świątkach przybyłem do Wiednia. W godzinę po mojem przybyciu oddałem cesarzowi absolucją papieżką.

„Zapóźno! rzekł cesarz poważnie W dzień po zielonych świątkach przesłałem namiestnikowi mojemu w Pradze rozkaz wywołania żydów z Pragi ósmego dnia po otrzymaniu tegóż. Żałuję, że przybywasz za późno i gdyby znalazł się posłaniec, co by zdołał dotrzeć jeszcze do królewskiej mojej stolicy, Pragi, zanim rozkaz mój będzie wykonany, bardzo bym zadowolony był z tego, ale to jest niepodobieństwem, w czasie tak krótkim żaden rumak, choćby najlepszy, téj drogi przebyć nie może.. zaledwie dwa dni pozostaje. *Jeśli wszakże rozkaz mój już będzie wykonany, ja go odwołać nie mogę* — wtedy to przeznaczenie Najwyższgo...

„Najjaśniejszy panie! rzekłem, spróbowałem wszystkiego, by ocalić braci moich. — Za pomocą Bożą, odwołanie edyktu najwyższego przed wygnaniem do Pragi poniosę, je-

żeli W. C. M. raczy najwyżej powierzyć mi to poselstwo. Prośby i naleganiami memi udało mi się nareszcie nakłonić Monarchę. Dano mi list cesarski do królewskiego namiestnika w Pradze. Choć wycieńczony chorobą i podróżą dość długą, natychmiast siadłem na koń. Przybędę na czas — wszystko ocalone! przybędę za późno — wszystko stracone! —

Nadzwyczajną szybkość mojej jazdy będziecie w stanie zmierzyć tém, że stanąłem tu w czasie należytym. Wręczym biegu mi jałem wsie, zamki i góry. Podkowy latającego rumaka, co zdawał się nie dotykać wcale ziemi, skrzesywały iskry z twardego bruku ulicznego. Pierwszego dnia drogi upał zmęczył mnie bardzo. Nie czułem głodu — ale natomiast pragnienie palące.. Nie śmiałem ugasić go w jedném ze źródeł, przed któremi przejeżdżałem, w obawie by nie utracić chwili czasu tak drogiego. — Nieraz zwątpiłem już, czy dokonam swego przedsięwzięcia... czasem opadało mnie nadzwyczajne jakieś osłabienie. — Ale myśl o współwyznawcach mo-

ich ukrzepiała mnie zawsze i nowych dodawała sił...

Pierwszej nocy przyświecał księżyc. Chętnie oddałbym cały swój majątek za godzinę odpoczynku — ale każda chwila byłaby stracona. Na drugi dzień był nieznośny, znoyny upał. Gdyby okropny ten żar słoneczny potrwał był przez dzień cały, uległbym — ani wątpić o tém...

Ku południowi widnokrąg czarnemi pokrył się chmury, w dali łyślały błyskawice, biły pioruny i orzeźwiający deszczyk spływał z nieba..

Chciwie połykałem miły chłód i niby odżyłem.. Na niebie stała tęcza, jej widok wzmocnił mnie cudownie..

I znów zapadł wieczór. — Droga moja szła przez gęsty las. Niebo osłonięte było chmurami czarnemi, była to noc najciemniejsza, jakąm widział kiedy. Ani jedna gwiazdka nie świeciła na niebie.. nie znajdowałem drogi, nie wiedziałem dokąd pokierować strudzonego rumaka. Owładnął mnie jakiś strach śmiertelny, cóż mi teraz było czynić?

Czyż miałem czekać nadchodzącego rana i beczynnie trawić czas, którego nigdy potem wynadgrodzić nie zdołam?!

„Panie! zawołałem, czyliż może być wolą twą świętą, żebym ja tu w bezwładności tracił czas drogocenny! Tyś mnie prowadził po wszystkich drogach moich, Tyś był z duchem i z usty mojemu, gdym mówił przed władcami świata, dałeś mi łaskę znaleźć w ich oczach uzdrowiłeś mnie — a teraz Panie! — a teraz, gdy zbliża się chwila rozwiązania, chcesz mnie opuścić?!!

Tyś stworzył gwiazd miliony, co świecą na drogach swoich — a dziś, w tej nocy straszliwej, niemaż choć jednej gwiazdki zatłonej, coby mi drogę wskazała?,, —

Gdym tak me oko zwilżone w czarném niebios sklepieniu miał utkwione, silny wiatr zadał straszliwie.. — Stuletnie dęby i jodły chyliły się i kłaniały, i rozerwała się się ciemna chmur obsłona — i księżyc i gwiazdy mile rzucały swe światło na ziemię. — „Dalej, koniu mój wierny, dalej! zawołałem z radością. Błogosławioném niech będzie imię Pana od wieka do wieka!,, Tęjże samėj chwili

li poczułem okropny ból w oku. W pośpiechu szalonym, z jakim teraz na nowo puściłem się w drogę nie spostrzegłem gałęzi wystającej; ta gałąź przekłuła mi lewe oko. Krew zbryzgała mi twarz całą. Lecz teraz nie był czas na pielęgnowanie ciała. Podwiązałem oko jak mogłem i popędziłem dalej. Potem bez żadnego szwanku zbliżałem się ku Pradze. Niezadługo ujrzałem wieżyce mego miasta rodzinnego. Było już po jedenastój, gdy z mocno bijącym sercem przejeżdżał przez bramę wyszehradzką. Najsamprzód skierowałem konia ku mieszkaniu namiestnika, zeskoczyłem na podwórze i nie zameldowany wpadłem do pokoju. Namiestnik przeczytawszy odwołanie cesarskie, rozkazał bezzwłocznie jednemu z oficerów udać się za mną do dzielnicy żydowskiej dla uwierzytelnienia mnie u dowódcy wojsk, który miał poleczone dopełnić wygnania. Ja zaś wskoczyłem natychmiast na koń i przybyłem, Bogu chwała i dzięki! o należytych czasie! —

Reb Mordechaj umilkł. Wmałem kółku panowało owo wzruszenie radośne, rzewne, któ-

rego w życiu doznajemy tak rzadko i które tём silniej wstrząsa sercem naszym...

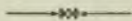
„Nie miałem, przerwał Reb Mordechaj krótkie milczenie, nie miałem więcej sposobności i czasu dziękować sekretarzowi — ale ja mu tego nie zapomnę nigdy — nigdy — to dobry, wdzięczny człowiek... Nie prawdaż, kochana żono, rzekł zwracając się do Beli, żeśmy słusznie uczynili, okazawszy mu przed kilku laty tę małą przysługę. Nie prawdaż?

„O, tak, zawołała Bela wzruszona, tak, Pan nagradza sprawiedliwego już i w tem życiu.

„Jaką to przysługę wyświadczyliście temu człowiekowi? spytał Raf. Bela chciała odpowiedzieć, ale Reb Mordechaj nie dał jój mówić.

„Daj pokój, kochana żono! To nic, Rabbi! nic godnego opowiadania. —

„Szlachetny mężu! zawołała Bela w najwyższym natchnieniu, — nie, mnie się więcej Ciebie kochać nie godzi... ja Ciebie czcić powinnam — czcić, jak się czci aniołów, których z wysokości swych świetlistych zesłał Pan ludziom na pociechę i zbawienie!



Mordechaj Cohen dawno już przeniósł się do ojców swych.. Na mogile jego bujnie bluszcz się rozrasta... Ale Izrael wciąż wdzięczny mu, a pamięć jego żyje we wspomnieniach ludu...

Koniec.





F

22.391